



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

10
2019

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 28

INDIE

UWIERZYĆ W DUCHA

Gruzja

MIASTO MIŁOŚCI

str. 10

str. 36

WŁOCHY

VENZONE – FORTEGA Z POPIOŁÓW

POLSKA
STR. 18

str. 98

TUNEZJA

KRAJ JAŚMINEM PACHNĄCY



SERBIA STR. 78

NAJGORĘTSZE
DERBY EUROPY

PANAMA STR. 44

W KUNA YALA
NA UKUTUPU

IRLANDIA PÓLNOČNA STR. 56

HISTORIA ZAKŁĘTA W MURALACH

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177 0032 6149 02 10

Kopalnia Soli „Wieliczka”



Witaj w kopalni tajemnic

www.kopalnia.pl



INDIE str. 28



SERBIA str. 78



JAPONIA str. 88



WŁOCHY str. 36

URUGWAJ str. 66



W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4

Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

GRUZJA str. 10

Sighnaghi to miasto miłości.
Marek Tomaszewski

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

POLSKA str. 18

Beskid dziki.
Włodzimierz Stachoń

INDIE str. 28

Tropienie śnieżnej pantery.
Michał Łukasiewicz

WŁOCHY str. 36

Venzone – forteca
z popiołów.
Agnieszka Jankowska

PANAMA str. 44

W Kuna Yala na Ukutupu.
Ewa Treszczotko

GEOSKOP str. 52

IRLANDIA PÓŁNOCNA str. 56

Historia zaklęta
w muralach.
Mikołaj Szoszkiewicz

PODRÓŻNOŚCI str. 64

Węzełek na drogę.
Felietaon Magdaleny
Żelazowskiej

URUGWAJ str. 66

Festiwal pieczenia baraniny.
Wiesława Izabela Rudź

NAVIGATOR str. 74

SERBIA str. 78

Najgorętsze derby Europy.
Dominik Popek

DŁUGO W DRODZE str. 86

Ostatnia dzika rzeka cz. 3.
Felietaon Łukasza
Długowskiego

POZNAJ ZWYCZAJ str. 88

Człowiek-pensja.
Jakub Jagodziński

POLSKA NIEZNANA str. 96

Nim odlecą
bieszczadzkie anioły.
Felietaon Mikołaja
Gospodarka

TUNEZJA str. 98

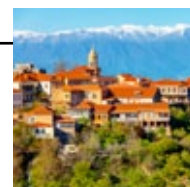
Kraj jaśminem pachnący.
Paula Potasiewicz

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 106

Historia... kotem się toczy.
Felietaon Anny Szczęsnej

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
widok na
gruzińskie miasto
Sighnaghi

Anisim Fomiczow

RUMUNIA

Błoto wybiło

Wulkany błotne w przyrodzie występują dużo rzadziej niż magmowe. Te w Rumunii wybuchają wyjątkowo często – raz na kilkadziesiąt sekund. Błoto, zanim wytryśnie na zewnątrz, przechodzi trasę trzech kilometrów z głębi Ziemi, popychają je gazy powstałe z rozkładu substancji organicznych. Zastygłe błoto robi wrażenie księżycowego krajobrazu. Wulkany błotne w Rumunii znajdują się koło wsi Pâclele, niedaleko miejscowości Berca. Są tu dwa podobne do siebie obszary: Vulcanii Noroioși Pâclele Mici oraz Pâclele Mari. Zdjęcie pochodzi z tego drugiego.





otwarcie
w grudniu
2019

Życie po dawnemu | Warsztaty | Połańcówki | Spotkania z mistrzami tradycji



ETNOCENTRUM
ZIEMI KROŚNIEŃSKIEJ

Inspirujemy tradycją

 facebook.com/etnocentrum  instagram.com/etnocentrum  [EtnocentrumZiemiKrośnieńskiej](https://www.youtube.com/EtnocentrumZiemiKrośnieńskiej)



Działania promocyjne i informacyjne związane z otwarciem ETNOCENTRUM Ziemi Krośnieńskiej realizowane są w ramach projektu pn. „Modernizacja zabytkowego dworca PKP na potrzeby funkcjonowania ETNOCENTRUM Ziemi Krośnieńskiej” dofinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko na lata 2014-2020, oś priorytetowa VIII. Ochrona dziedzictwa kulturowego i rozwój zasobów kultury, działanie 8.1.

Mateusz Zbaraszewski

POLSKA

Zakwit na Kwisie

Jeziro Leśniańskie to zbiornik zaporowy na rzece Kwisie, między Gryfowem Śląskim a Leśną. W miejscowości Sucha nad zalewem wznosi się piękny zamek Czocho. Gotycka budowla warowna powstała w XIII w. Zdjęcie zrobiono jesienią, a zielone plamy na wodzie to zakwit.

Zdjęcie zajęło I miejsce w XVIII edycji konkursu Poznaj Świat ze SKAT!
www.poznajswiatzeskat.pl



LINIA LOTNICZA, KTÓRA LATA DO NAJWIĘKSZEJ LICZBY KRAJÓW NA ŚWIECIE



• **AMERICA** ARGENTINA BRAZIL CANADA COLOMBIA CUBA PANAMA USA VENEZUELA • **EUROPE** ALBANIA AUSTRIA AZERBAIJAN BELARUS BELGIUM BOSNIA BULGARIA CROATIA CZECH REPUBLIC DENMARK ESTONIA FINLAND FRANCE GEORGIA GERMANY GREECE HUNGARY IRELAND ITALY KOSOVO LATVIA LITHUANIA LUXEMBOURG MACEDONIA MALTA MOLDOVA MONTENEGRO NETHERLANDS NORTHERN CYPRUS NORWAY POLAND PORTUGAL ROMANIA RUSSIA SCOTLAND SERBIA SLOVAKIA SLOVENIA SPAIN SWEDEN SWITZERLAND UKRAINE UNITED KINGDOM • **AFRICA** ALGERIA BENIN BURKINA FASO IVORY COAST CAMEROON CHAD COMOROS D.R. OF THE CONGO DJIBOUTI EGYPT ERITREA ETHIOPIA GABON GAMBIA GHANA GUINEA KENYA LIBYA MADAGASCAR MALI MAURITANIA MAURITIUS MOROCCO MOZAMBIQUE NIGER NIGERIA RWANDA SENEGAL SOMALIA SOUTH AFRICA SUDAN TANZANIA TUNISIA UGANDA SEYCHELLES SIERRA LEONE ZAMBIA • **FAR EAST** AFGHANISTAN BANGLADESH CHINA INDIA INDONESIA PHILIPPINES JAPAN KAZAKHSTAN S. KOREA KYRGYZSTAN MALDIVES MALAYSIA MONGOLIA NEPAL PAKISTAN SINGAPORE SRI LANKA TAJIKISTAN THAILAND TURKMENISTAN UZBEKISTAN VIETNAM • **MIDDLE EAST** BAHRAIN IRAN IRAQ ISRAEL JORDAN KUWAIT LEBANON OMAN QATAR SAUDI ARABIA SYRIA UNITED ARAB EMIRATES YEMEN • **TURKEY**



TURKISH AIRLINES

Rafał Bil

POLSKA

Sztukmistrz z Lublina

Jedni na karnawał wybierają się do Wenecji, inni do Rio, a ja już od 10 lat przybywam do Lublina. Wyprawa na Carnaval Sztukmistrzów to jedna z najgorętszych podróży, jakie można odbyć w tej części Europy. Istotą tego wydarzenia jest gorąca zabawa. Na ulice wyływa radość, ekscytacja i niesamowici ludzie. Highlinerzy przysłaniają blask słońca, buksery inspirują kreatywnością, a ci, co plują ogniem, przestrzegają dzieci, by nie robiły tego w domu. Tego nie da się opisać słowami, tę podróż trzeba odbyć samemu.

Zdjęcie zajęło III miejsce
w XVIII edycji konkursu
Poznaj Świat ze SKAT!
www.poznajswiatzeskat.pl



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



Chiruca® wspiera GOT



rabat 5%



rabat 10-15%



rabat 20-25%



rabat 30%



Zdobywasz Górską Odznakę Turystyczną PTTK?

Kup niezawodne buty marki Chiruca z rabatem do 30%!

Szczegóły:

fb.com/ChirucaOutdoorPL, chirucawspieragot.pl oraz chiruca.pl

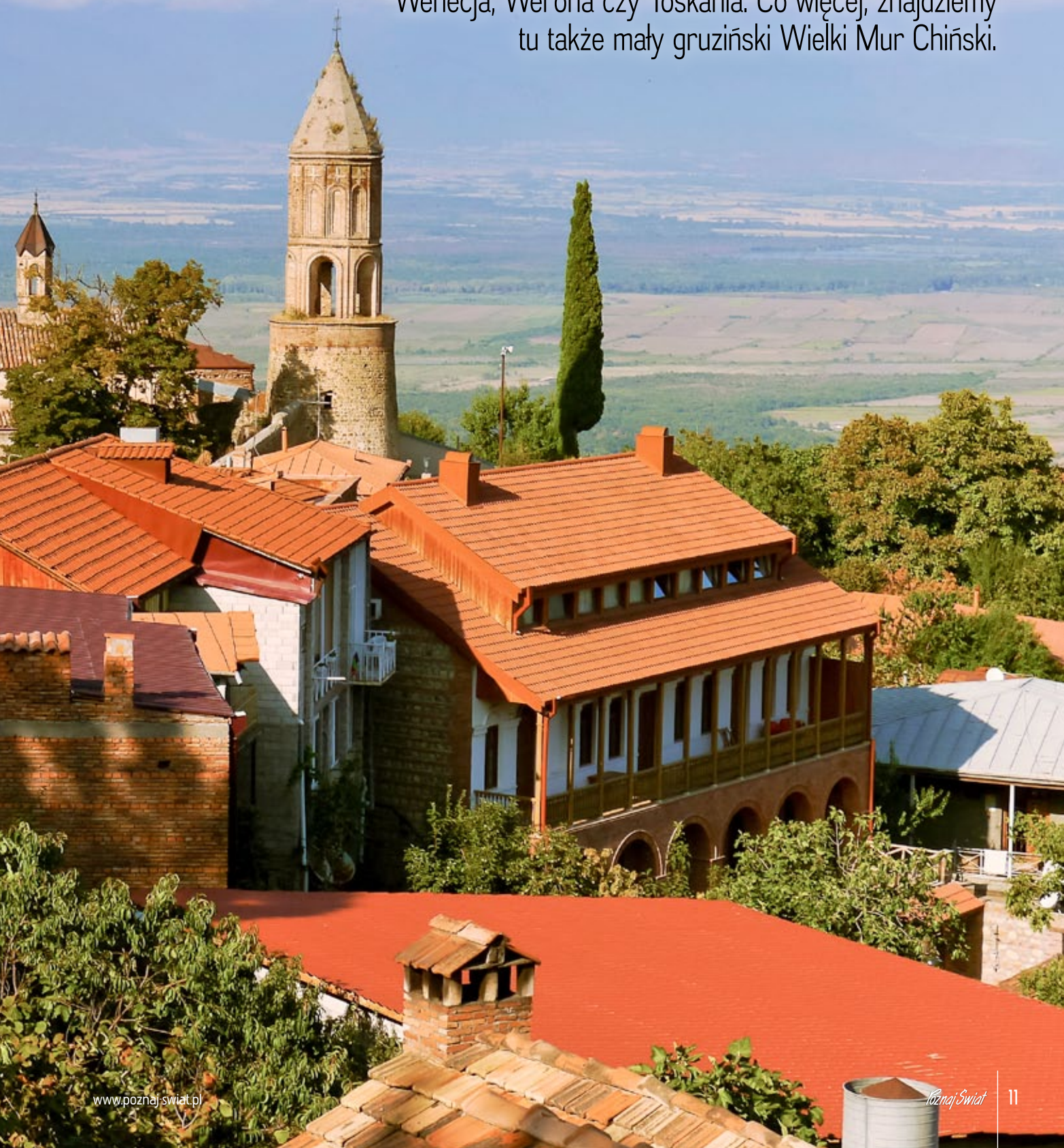


MIASTO MIŁOŚCI

Marek Tomaszewski



Sighnaghi reklamuje się jako miasto miłości. Miejscowi mówią także, w zależności od rozmówcy, że to gruzińska Wenecja, Werona czy Toskania. Co więcej, znajdziemy tu także mały gruziński Wielki Mur Chiński.





MAGAROS WISZKARI

Taką nazwę nosi najważniejsza brama Signaghi, łącząca nowszą część miasteczka z jego starą zabudową.

Nie tak dawno, za rządów byłego już prezydenta Micheiła Saakaszwilię, miasto zostało gruntownie odnowione. Niektórzy powiedzą potem, że restauracja i remonty poszły za daleko, że Signaghi zostało niemal zbudowane na nowo, co sprawiło, że zagubiło gruziński

charakter, stało się wydmuszką – piękną na zewnątrz, ale pustą w środku, bez wyrazu. Można się z tym zgadzać lub nie, niemniej jedno nie budzi wątpliwości. Signaghi nie potrzebuje porównań do innych, bardziej znanych miejsc na świecie. Samo w sobie jest na tyle urokliwe i klimatyczne, że zasługuje na wizytę i bliższe poznanie.

PRAWIE JAK LAS VEGAS

Już samo położenie tego niewielkiego miasteczka robi wrażenie. Signaghi jest usytuowane na wzgórzu o wysokości 790 m n.p.m., a dosłownie pod nim rozciąga się, aż po sam Kaukaz, rozległa, długa na 160 km i szeroka na około 20–30 km, dolina rzeki Alazani, słynąca z uprawy winorośli i wyrobu świetnego wina. Budynki z daleka wyglądają jak przyklejone do zbocza i sprawiają wrażenie, że zaraz osuną się w przepaść.





FOT. MAREK TOMASZEWSKI

Dojazd lokalną marszrutką z położonej w dolinie wioski Tsnori przyprawia o zawroty głowy. Kolejne wzniesienie, serpentyna, zakręt, szybka zmiana wysokości zatyka uszy, aż w końcu wjeżdżamy do miasteczka przez bramę w murach. Koła toczą się powoli po bruku, otacza nas morze czerwonych dachów, strzeliste, kamienne wieże kościołów, smukłe cyprysy i tuje. Jednym słowem – bajka i sielanka, faktycznie niczym w Toskanii. Klimatu i romantyzmu dodają rzeźbione, ażurowe balkony oplecione winoroślą, wychodzące na wąskie, brukowane uliczki, którymi przechadzają się leniwie koty.

Dlaczego Sighanghi to miasto zakochanych? Nikt z mieszkańców nie potrafił konkretnie odpowiedzieć na to pytanie. Określenie nie nawiązuje do żadnej historii, legendy, żadna para kochanków nie straciła tu życia w imię niezrozumianego i nieszczęśliwego uczucia, jednak podobno można tu się pobrać o każdej porze dnia i nocy. Dom ślubów jest

otwarty całą dobę, z czego chętnie korzystają zakochani. To takie gruzińskie Las Vegas. Niestety, zawarte tu małżeństwo jest ważne tylko na terytorium Gruzji.

Historia Sighnaghi sięga XVIII w. W 1762 r. król Herakliusz II założył tu fortecę z najpotężniejszymi w tej części Gruzji murami obronnymi. Strategiczne położenie i fortyfikacje chroniły miejscową ludność przed atakami Persów i Lezginów tak skutecznie, że miasto zyskało miano niezdobytej twierdzy, a jego nazwa wywodzi się z języka tureckiego i oznacza fort, schronienie. Do dzisiejszych czasów w doskonałym stanie zachowało się około 4 km murów obronnych wraz z 23 basztami i 6 bramami. Można wspiąć się na jedną z wież i odbyć przyjemny spacer do dwóch kolejnych trasą udostępnioną dla turystów. Rozciąga się stąd obłędny wręcz, panoramiczny widok na całą, płaską jak stół, Dolinę Alazańską, a przy dobrej pogodzie na horyzoncie są widoczne ośnieżone szczyty Wielkiego Kaukazu.

TYLKO DLA TWOICH OCZU

Fotografowanie w monasterze Bodbe jest zabronione, ale mało kto przejmuje się zakazem, tylko uwiecznia piękne freski na zdjęciach.



A TO GRUZJA WŁAŚNIE
Czerwona dachówka,
strzeliste cyprysy,
gorący klimat i pyszne
wino – to nie Toskania,
ale gruzińskie
Sighnaghi. Warto też
wybrać się za miasto,
aby nacieszyć oczy jego
wyjątkowym położeniem.

Same mury, przy dużej dozie wyobraźni, faktycznie można porównać do Wielkiego Muru Chińskiego. Gdy się spojrzy na turystyczną mapę Sighnaghi, wprawne oko zauważy, że mury nie otaczają w pełni obecnego miasta, ale okalają fragment niezabudowanego zbocza. Jeśli wierzyć wyjaśnieniom, mieszkańcy podczas najazdów opuszczali miasto, chronili się wraz z dobytkiem za murami na wzgórzu i dopiero stąd bronili się przed najeźdźcami.

GRUZIŃSKI NIKIFOR

Sighnaghi nie ma zbyt wielu zabytków, atrakcją jest sam spacer i podziwianie miłej dla oka zabudowy i okolicy. Niewielu turystów spędza tu więcej niż jeden, dwa dni. Najspokojniej jest o poranku, zanim zjadą rzesze

zorganizowanych wycieczek, a także wieczorami, gdy ustanie warkot quadów, którymi rozbijają się młodzi Gruzini oraz skończą przybysze z Dalekiego Wschodu. Swój koncert w ciepłe dni zaczynają cykady, zmysły koi delikatny szmer fontanny na niewielkim rynku. Może faktycznie określenie „miasto miłości” nie jest tylko suchym sloganem, ale trzeba trafić na odpowiednią chwilę i przyjechać tu z odpowiednią osobą.

W Sighnaghi znajdują się dwie cerkwie – Świętego Jerzego i Świętego Stefana. Z wieży tej drugiej, na którą można się wspiąć, roztacza się przyjemny widok na okolicę. Pięknie wyglądają kamienne mury świątyni oświetlone ostatnimi promieniami słońca. Zabarwiają się wówczas na ciemnopomarańczowy kolor i stają się niezwykle fotogenicznymi obiektami. Spacer po Sighnaghi umilają także



FOT. MAREK TOMASZEWSKI



FOT. MAREK TOMASZEWSKI

pokryte patyną rzeźby, przy których chętnie pozują turyści. Jedną z nich jest, inspirowana malarstwem Niko Pirosmatego, rzeźba chudego lekarza z parasolem i walizką, jadącego na osiołku.

Niko Pirosmati, a właściwie Pirosmatanaszwili, urodził się w pobliskiej wiosce Mirzaani i z jego pracami zetknął się każdy, kto choć raz był w Gruzji. Ten malarz samouk, prymitywista, jest porównywany z naszym Nikiforem Krynickim. Sam nierzadko cierpiał głód, malował więc to, czego mu brakowało – suto zastawione stoły, supry, czyli gruzińskie biesiady, szczęśliwych ludzi pijących wino. W swych pracach oddawał esencję Gruzji, dlatego na ścianie niemal każdej restauracji wisi reprodukcja jednego z jego dzieł. W muzeum w Signaghi znajduje się druga co do wielkości, po Tbilisi, kolekcja obrazów Niko Pirosmatego.

– *Chcicie dowiedzieć się, na czym polega wielkość Pirosmatego?* – zagadnął nas po rosyjsku opiekun kolekcji. Oczywiście byliśmy ciekawi. Zaprowadził nas do jednego z obrazów przedstawiającego jelenia. – *Stanie w odległości kilku metrów, z lewej strony obrazu, i patrzcie jeleniowi prosto w oczy. Przejdźcie następnie powoli na prawą stronę i zobaczycie, co się stanie.* Stało się coś, co spowodowało, że otworzyliśmy oczy szeroko ze zdumienia. Otóż wzrok jelenia podążał za nami. Niezależnie gdzie się stanie, odnosi się wrażenie, że jeleni patrzy nam prosto w oczy. Zachwycony iluzją, kilkakrotnie przechodziłem z jednej strony obrazu na drugą, bawiąc się przy tym jak dziecko.

Pomimo że niektóre z prac Pirosmatego są dość infantylne, to po obejrzeniu kolekcji znajdującej się w Signaghi i „zabawie” z jeleniem muszę przyznać, że faktycznie był

LOKALNY SNICKERS

Czurczchela to orzechy nanizane na nić, zatopione w gęstej masie z soku winogronowego.



FOT. MAREK TOMASZEWSKI

AŻUROWY SYMBOL

Drewniane balkony wychodzące na uliczki są charakterystyczne dla całej Gruzji.

on wielkim malarzem i nie bez powodu jego twórczość stała się wizytówką całego kraju.

U ŚWIĘTEJ NINO

Niecałe 3 km od Sighnaghi znajduje się monastyr Bodbe, miejsce pochówku św. Nino – mniszki z Kapadocji, apostołki, świętej Kościoła katolickiego, ormiańskiego i prawosławnego, dzięki której Gruzja jako drugi kraj na świecie (po Armenii), w 337 r., przyjęła chrzest i uznała chrześcijaństwo za religię państwową. Mogiła świętej oraz jej relikwie znajdują się w niewielkiej kaplicy trzynawowej bazyliki, która obecny kształt przybrała w IX w. Ściany bazyliki zdobią piękne, wielobarwne freski, oświetlane rozproszonymi promieniami słońca, które wpadają niewielkimi okienkami. Nikt nie przejmował się zakazem fotografowania,

więc ja również skorzystałem i zrobiłem kilka zdjęć. Grób jest celem licznych pielgrzymek, podobnie jak źródło, bijące według legendy w miejscu, w którym św. Nino się modliła. Aby do niego dojść od monastynu, należy przejść około kilometra w dół schodkami, a następnie leśną ścieżką.

Cudowne źródło ma ponoć leczniczą moc. Wody można napić się na miejscu, nabrać jej sobie do pojemnika, ale także zanurzyć się w nim (za opłatą), z czego wiele osób ochoczo korzystało. Kąpiel można wziąć w niewielkiej kapliczce wybudowanej nad źródłem, której strzegą siostry zakonne. Prowadzą one zapisy chętnych i wyczytują po kolei nazwiska. Zgodnie z instrukcją tego uzdrawiającego misterium należy przed wejściem rozebrać się do naga, a następnie trzykrotnie zanurzyć, razem z głową, w lodowatej wodzie.



FOT. MAREK TOMASZEWSKI

Do monastynu i źródła można dojść bez problemu pieszo. Ma to tę zaletę, że po drodze mijają się wiele punktów widokowych na Sighnaghi. Najpiękniejszy widok rozpościera się z tarasu restauracji Kanudos. Koniecznie trzeba tu się zatrzymać, nie tylko dla podziwiania panoramy miasta i zrobienia sesji fotograficznej, ale także aby poprobować flagowych dań gruzińskiej kuchni. Na przystawkę zamówiliśmy *pchali*, posiekany szpinak z orzechami i pestkami granatu, a jako dania główne *chaczapuri*, placek z serem będący gruzińską odpowiedzą na włoską pizzę, oraz słynne *chinkali*. Są to charakterystycznie zawijane pierogi z różnorodnym nadzieniem – od baraniny zaczynając, na grzybach kończąc. Wewnątrz *chinkali*, oprócz nadzienia, znajduje się pyszny sos. Trzeba zatem uważać, aby nie uronić ani kropli tej esencji dania, co dla kogoś, kto je *chinkali* po raz pierwszy, może być problemem. Sztuka polega na tym, aby wziąć pierożek w palce, delikatnie nadgryźć kawałek i na samym początku wypić sos, a dopiero potem zająć się resztą. Do tego wszystkiego

obowiązkowo dzban miejscowego, domowego wina z endemicznego szczepu saperavi. Na deser koniecznie należy skosztować tutejszego specjału zwanego gruzińskim snickerssem. Są to *czurczchele* – nanizane na sznurek orzechy zatopione w gęstej masie powstałej z soku winogronowego.

Do Sighnaghi najlepiej pojechać jesienią, gdy przyroda rozkwita paletą barw, a w winnicach trwa winobranie. Miasto leży w Kachetii, regionie słynącym z wyrobu wina. Ogromne wrażenie robią, sunące jeden za drugim, stare gruzawiki z naczepami wypełnionymi po brzegi ciemnymi lub jasnymi winogronami, jesteśmy w końcu w centrum gruzińskiego winiarstwa. Sighnaghi to najpiękniejsze miasto Kachetii, a może nawet i całej Gruzji. Miasto miłości, miasto zakochanych. Cytując Wojciecha Jagielskiego, to „dobre miejsce do umierania”, ale chyba jeszcze lepsze do życia. Zgodnie z legendą Bóg, stwarzając świat, oddał Gruzinom miejsce, które chciał zachować dla siebie – najpiękniejsze i niepowtarzalne. Po wizycie w Sighnaghi jestem gotów uwierzyć, że to nie tylko legenda. ○

WINOZWOŻENIE

Do Gruzji, a szczególnie Kachetii, najlepiej jechać w porze winobrania, ulicami jeżdżą wówczas ciężarówki wypełnione owocami.



Marek Tomaszewski

Z zawodu policjant, z zamiłowania podróżnik. Jego ulubione kierunki wypraw to Bliski Wschód oraz kraje byłego ZSRR. Co roku odwiedza magiczny Lwów, ale serce zgubił w Tbilisi.

Beskid dziki

Włodzimierz Stachoń

Beskid Niski jest miejscem, w którym przyroda rządzi się swoimi prawami. I chociaż pojawia się coraz więcej turystów zmęczonych przeludnieniem górskich kurortów, wciąż jeszcze można znaleźć tu spokój oraz spotkać czworonożnych i skrzydlatych mieszkańców tej pięknej krainy.

Rozległe leśne ostępy i graniczące z nimi łąki to idealne środowisko dla jelenia karpackiego. Ten duży i silny zwierz ma się tu bardzo dobrze, a spotkania z nim, szczególnie o poranku, nie należą do rzadkości.



Czujność nade wszystko, gdy żyje się w krainie wilka i rysia. Sarna (na zdjęciu młody rogacz) to jeden z podstawowych składników diety dużych drapieżników, które regulują jej liczebność. Jest rzadziej widywana niż wszędobylskie jelenie.





W przeciwieństwie do bardziej znanego i pospolitego bociana białego jego czarny kuzyn, zwany także hajstrą, żyje z dala od ludzi, w najstronniejszych leśnych uroczyskach. Żeruje na strumieniach i potokach oraz na niewielkich rozlewiskach powstających w wyniku działalności bobrów.

Łasica czy gronostaj? Te podobne do siebie, niezwykle ruchliwe zwierzątka bardzo trudno rozróżnić w terenie. Cechą rozpoznawczą jest czarna końcówka ogona charakterystyczna dla gronostaja. Jednak gdy spotkanie jest krótkie i zwierzątko nie zaprezentuje się w pełnej krasie, gatunek pozostaje zagadką.



Orlik krzykliwy przypomina sylwetką znacznie rzadszego i większego orła przedniego. W Beskidzie Niskim znajduje dogodne warunki do życia oraz rozmnażania się i należy do najliczniejszych tu ptaków drapieżnych. Chętnie poluje na świeżo skoszonych łąkach, na których poszukuje polnych gryzoni, zjada także żaby, a nawet węże.



W lasach Beskidu Niskiego występują wszystkie duże drapieżniki: niedźwiedź, wilk, ryś, żbik. Wilki żyją tu od wieków, mając do dyspozycji ogromne obszary leśne, obfitujące w zwierzynę płową, którą się żywią.



Tajemniczy,
stary, bukowy
las na stokach
Lackowej. Jedna
z tras wiodących
na szczyt należy
do najbardziej
stromych, poza
Tatrami, szlaków
w polskich górach.





Lis to najpospolitszy czworonożny drapieżnik zamieszkujący lasy i zagajniki. W Beskidzie Niskim musi mieć się na baczności, bo przychodzi mu żyć w sąsiedztwie wilka i rysia, dla których może być smacznym kąskiem.



Puszczyka uralskiego – jednej z największych naszych sów – w Beskidzie Niskim jest najwięcej w Polsce. Ze względu jednak na rozległość i niedostępność terenu niełatwo o spotkanie z tym pogromcą leśnych gryzoni.

Malowniczy świt nad Lackową – najwyższym szczytem polskiej części Beskidu Niskiego (997 m n.p.m.). Charakterystyczna kopulasta sylwetka tej góry jest doskonale widoczna z wielu okolicznych wzgórz. Zdjęcie zostało wykonane na drodze z Izb do Mochnaczki.



Włodzimierz Stachoń

Od 25 lat zajmuje się fotografią i publicystyką o tematyce przyrodniczej. Ponad 20 ogólnopolskich czasopism opublikowało 6 tys. jego zdjęć. Kolejne tysiąc fotografii znalazło się w siedmiu autorskich albumach.
www.wlodzimierzstachon.pl



UWIERZYĆ W DUCHA

Michał Łukaszewicz



Zamarzyła nam się śnieżna pantera. I przez myśl nam nawet nie przeszło zdobywanie pięciu siedmiotysięczników byłego ZSRR. Mówimy tu o prawdziwej śnieżnej panterze. Zamieszkuje ona odległe, często niedostępne tereny najwyższych gór Azji. Swoje oblicze pokazuje tylko nielicznym. Wyruszyliśmy zimą w Himalaje Ladakh, by spróbować naszych sił w poszukiwaniu zjawy.



FOT. MEGAL LUKASZEWICZ

MANTRORY ZAWRÓT GŁOWY

Buddyjskie flagi modlitewne przed świątynią Tsemo w Leh, położoną na wysokości ponad 3600 m n.p.m. Znajduje się ona zaledwie kilkaset metrów od centrum miasta, ale lepiej iść tam już po aklimatyzacji.

Zgwarne i spowitego smogiem Delhi przylecieliśmy do sennego Leh, daleko na północy Indii. Przed wylądowaniem usłyszeliśmy komunikat z kabiny pilota. Pierwszy oficer ostrzegał nas przed skutkami choroby wysokościowej. Chwilę później wylądowaliśmy na wojskowym lotnisku, blisko 3500 m n.p.m. W momencie otwarcia kabiny samolotu organizm doświadcza szoku ciśnieniowego. Pierwszy dzień należy spędzić na odpoczynku.

WDROŻENIE DO MAŁEGO TYBETU

Drugiego dnia, w ramach aklimatyzacji, zdobyliśmy zamek w Leh. Położony na 3700 m n.p.m., królował nad miastem. Wokół powiewały tybetańskie chorągiewki, które wysyłały w świat buddyjskie mantry. Przed nami roztaczała się piękna panorama: w dole miasto Leh, w oddali zaś – ośnieżone szczyty Parku Narodowego Hemis. To właśnie tam mieliśmy szukać zjawy. Patrząc jednak na ogrom otaczającej nas przestrzeni, zaczęliśmy wątpić w sukces naszego przedsięwzięcia.

Przecież zdarzało się, że przez całe długie lata nie widział jej tutaj nikt.

Następnego poranka załatwiliśmy pozwolenie na pobyt w Parku Narodowym Hemis, po czym zaangażowaliśmy taksówkarza w przejazd do oddalonego o 30 km Zinchen. To niewielka wioska na końcu asfaltowej drogi, która wyznacza początek pieszego szlaku. Z taksówkarzem umówiliśmy się na nasz odbiór dwa tygodnie później. Przed nami były dwie, może trzy godziny marszu do doliny Rumbak.

Podążaliśmy w górę zamrożonego potoku. Z obu stron skalne ściany rzucały na nas cień, który ustępuje tutaj miejsca światłu słonecznemu jedynie na kilkadziesiąt minut dziennie. Ku naszemu zaskoczeniu nie zalegał śnieg. Jak się później dowiedzieliśmy, mieszkańcy Ladakh cieszą się słońcem przez 320 dni w roku. Niestety, skutkuje to często okresami suszy i nieurodzaju.

Około południa dotarliśmy do miejsca, w którym wąski skalny przesmyk otwierał swoje wrota, zmieniając oblicze w obszerną dolinę Rumbak. Kilkaset metrów dalej pojawiła się odizolowana wioska o tej samej nazwie. Weszliśmy do pierwszego domu, by

zapytać o nocleg. Zostaliśmy odesłani do kolejnej rodziny, bowiem mieszkańcy Rumbak wypracowali rotacyjny system przyjmowania turystów. W ten sposób zyski dzielą się pomiędzy wszystkich.

Zrzuciliśmy plecaki w przydzielonej nam sypialni. Warunki były proste, lecz wystarczające. Dwa materace rozdzielone metalowym piecykiem. Po chwili gospodarze przynieśli tybetański klasyk, czyli słoną herbatę z masłem jaka i talerz świeżo ulepionych pierożków *momo*. Rozgrzani i posileni mogliśmy ruszyć na pierwsze poszukiwania.

PIERWSZE KOTY ZA PŁOTY?

Podążaliśmy ścieżką prowadzącą do przełęczy Ganda La (4980 m n.p.m.). Co kilkadziesiąt kroków stawaliśmy, by uspokoić oddech. Przystawialiśmy do oczu lornetki. Skanowaliśmy granie w nadziei, że choć na chwilę ukaże się w nich ruchoma sylwetka. Za którymś z przystanków odnieśliśmy pierwszy sukces. Wypatrzyliśmy stado nahurów górskich, czyli dzikich owiec, które stanowią główne źródło pokarmu dla śnieżnej pantery. Przełom lutego i marca to okres, w którym aktywnie podążają za nimi w niższe partie gór.

Po kilku godzinach dotarliśmy do samotnego domu, który widniał na mapach jako wioska Yurutse. Wymieniliśmy z napotkaną kobietą miejscowe pozdrowienie – melodyjne *joley*. Zostaliśmy zaproszeni na herbatę. Z radością weszliśmy do ciepłej kuchni. Wyglądało na to, że nikt więcej tutaj nie mieszkał. Próbowaliśmy dopytać o rodzinę, życie na uboczu, o spotkania ze śnieżną panterą. Bariera komunikacyjna okazała się jednak nie do przejścia, nawet z pomocą zaoferowanego nam słownika angielsko-ladakhi. Nie pozostało nic innego, jak zapłacić i wrócić na szlak.

Droga zaczęła piąć się stromo w stronę przełęczy. Na ok. 4400 m n.p.m. zdecydowaliśmy, że czas zawracać. Nie zabraliśmy czołówek i nie chcieliśmy, by zaskoczyła nas noc. Kiedy dotarliśmy do domu, ostatnie promienie słońca oświetlały już tylko czubki gór. Przystanęliśmy jeszcze na moment, żeby podziwiać krajobraz. W jednym kadrze piaszczyste wydmy, czerwone stoki, przyprószone śniegiem szczyty oraz czarna grań, poszarpana niczym ząbki piły mechanicznej. I to niebo bez chmur, które przybierało każdy możliwy odcień niebieskości.

Gospodyni zaprosiła nas do kuchni. Na ziemi leżała stolnica, na której rozwałkowane

GÓRY JAK OCEAN

Poszarpana grań prowadzi do szczytu Rumbak Kangri (5100 m n.p.m.). Niegdyś było tu dno oceanu, na które składały się różne skały osadowe, m.in. fioletowe wapienie. W wyniku erozji i utlenienia, na przestrzeni 50 mln lat, skały te uległy skruszeniu i przemieniły się w piasek o tak ciekawej barwie.





FOT. MICHAŁ LEKAWSKI



MISTRZYNI KAMUFLAŻU

Śnieżna pantera idealnie wtapia się w otoczenie. Jak zauważyć kota na tle gór? Po pierwsze – być cierpliwym (tropienie trwało 10 dni). Podrugie – wytrzymać kilkunastogodzinne czuwanie na mrozie. Po trzecie – mieć dobry sprzęt, no i szczęście.

ciasto z jęczmiennej mąki już czekało, by nadać mu kształt. Na samym środku stał czarny, blaszany piec. Co kilka minut gospodarz podsyczał ogień szufelką wysuszonych odchodów jaka. W kącie stał telewizor, który z jednej strony psuł atmosferę izolacji, z drugiej – dostarczał domownikom jedynej rozrywki. Tego wieczoru wspólnie oglądaliśmy hinduskie show taneczne, zajadając przy tym *tigmo*, czyli bułki na parze z sosem warzywnym. Tuż przed spaniem gospodarz wszedł do naszego pokoju. Nucąc pod nosem buddyjskie mantry, rozpałił ogień w piecyku. Godzina ciepła wystarczyła, by po długim dniu przyszedł błogi sen.

PIONIERZY PRZETRWANIA

Nazajutrz, posileni ciepłym naleśnikiem, wróciliśmy w plener. Słońce jeszcze nie zdążyło się podnieść ponad góry, kiedy doszliśmy do pierwszego punktu widokowego.

Spotkaliśmy tam trójkę Anglików, którzy przyjechali tutaj dokładnie w tym samym celu. Wspólnie zastanawialiśmy się, czy nie postradaliśmy zmysłów, decydując się na marznięcie w -20°C przez kilkanaście dni bez najmniejszych gwarancji zobaczenia śnieżnej pantery. Jakby jednak nie było, Anglicy mieli gorzej od nas, bowiem noce spędzali nie w ciepłym gospodarstwie, ale w zimnym namiocie.

Byliśmy akurat w trakcie wyobrażania sobie ciepłej filiżanki kawy, kiedy nad naszymi głowami poszybował orłosep. To niezwykle ptak z rodziny sępów, który żywi się wyłącznie kośćmi pozostawionymi przez inne drapieżniki. Chwyta kość i podlatuje z nią na wysokość kilku kilometrów, po czym zrzuca ją na ziemię. Kość roztrzaskuje się o skały, a ptak wydobywa z niej to, co najcenniejsze, czyli szpik.

Po chwili Simon wypatrzył przez teleskop odległego o kilka kilometrów rysia. Na otaczającym go lodzie było widać plamę krwi, jednak

ZABAWA W KOTKA I JAKA

Pantera chciała upolować młodego jaka, ale był na pastwisku i chroniła go siatka.



dystans uniemożliwił identyfikację ofiary. Nie minęło więcej jak dziesięć minut i ryś zniknął z resztkami zdobyczy w odległej dolinie. Kto by pomyślał, ile zwierząt wie dzie ciężkie życie w tym surowym, wrogim i niedostępnym otoczeniu. Nam za ledwie po godzinie stania zrobiło się tak zimno, że w podskokach ruszyliśmy w górę doliny, idąc tym razem traktem zamrożonej rzeki. Znowu znaleźliśmy stado nahurów. Obserwowaliśmy uważnie wszystkie otaczające je skały. Na nic.

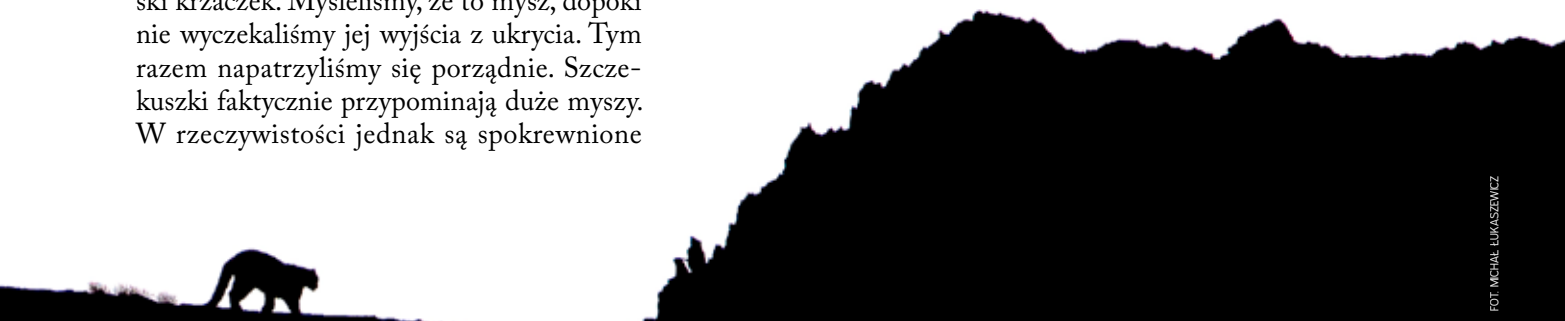
Następnego dnia główną atrakcją podczas wyjścia była szczekuszka. Odpoczywaliśmy w słońcu na skale, kiedy to zza wielkiego głazu wyskoczyło niewielkie stworzenie. Spojrzało na nas, po czym dało susa w pobliski krzaczek. Myśleliśmy, że to mysz, dopóki nie wyczekaliśmy jej wyjścia z ukrycia. Tym razem napatrzyliśmy się porządnie. Szczekuszki faktycznie przypominają duże myszy. W rzeczywistości jednak są spokrewnione

z zającami, co udowadniają sprawnymi skokami pomiędzy skałami. W mgnieniu oka potrafią zniknąć w szczelinie. Każdy z żyjących tu drapieżników, od lisa, przez rysia i orła, aż po śnieżną panterę, z chęcią uczyni ze szczekuszki swój obiad.

Cały kolejny tydzień minął podobnie. Po śniadaniu wyruszyliśmy w góry. Szukaliśmy jakiegokolwiek śladu śnieżnej pantery. Po zachodzie słońca wracaliśmy do domu na kolację. Zobaczyliśmy wilki tybetańskie, lisy, zające, orły, sępy i wszędobylskie jaki. Cały ten czas zjawa zdawała się jednak nieuchwytna. Zaczęliśmy tracić nadzieje.

PIĘKNA BESTIA

Grube łapy z gęstym futrem działają jak rakiety, ułatwiając długie wędrówki w głębokim śniegu. Długi ogon pozwala balansować ciałem w czasie ataku oraz służy jako „szal”, którym kot owija się w nocy.



CIERPLIWOŚĆ NAGRADZA WYBRANYCH

Ósmego dnia nastąpił przełom. Jak co dzień szliśmy w stronę przełęczy uzbrojeni w lornetki. Tym razem należało jednak patrzeć pod nogi. Pod stopami zauważyliśmy świeży ślad śnieżnej pantery odcisnięty w piasku. Tuż obok – kolejny. Mogliśmy odtworzyć sobie jej kilkusetmetrowy spacer. Mieliśmy niezbity dowód na to, że śnieżne pantery naprawdę żyją w Hemis. Pomimo wzmożonych wysiłków więcej tego dnia nie było nam dane zobaczyć.

Nazajutrz zmieniliśmy strategię i zamiast poruszać się po górach, przemieściliśmy się na punkt widokowy i postanowiliśmy się już z niego nie ruszać. Skoro my nie możemy dogonić zjawy, może ona sama przyjdzie do nas? Prawdę mówiąc, mieliśmy już trochę dość codziennej rutyny poszukiwawczej. Jednak ten ruch okazał się strzałem w dziesiątkę.

Najpierw zauważyliśmy stado nahurów. Po chwili, na przeciwnej grani, pojawiła się zjawka! Z gracją pokonywała kolejne trudności skalne, zbliżając się w kierunku upatrzonej ofiary. Gołym okiem jej srebrne futro w czarne cętki było nie do odróżnienia od otoczenia. Przez lornetkę było widać natomiast idealnie jej grube łapy i piękne, niebieskie oczy, które

nie spuszczały wzroku ze stada nahurów. Dościliśmy tego szczytu! Udało nam się zobaczyć śnieżną panterę w jej naturalnym środowisku! I to nie dalej jak trzysta metrów od nas!

W tym samym czasie przez położone na dnie doliny pastwisko przechodził młody jak. Pantera zauważyła go i straciła zainteresowanie oddalającymi się nahurami. Zbiegła zgrabnie w dół stoku, czając się za głazem na cielaka. Przygotowała się do ataku. Jak przeszedł kilka metrów od niej, zupełnie nieświadomy zagrożenia. Zjawka nie była chyba przekonana, że będzie w stanie skutecznie pokonać ofiarę. Przy jej niezdecydowaniu cielę jąka przeszło jej przed nosem i powoli oddaliło się w stronę upatrzonych krzaczków.

Po nieudanym polowaniu śnieżna pantera ułożyła się do snu w jednej ze szczelin. Nic dziwnego, że przez tyle czasu nie mogliśmy jej wypatrzeć. Idealnie zlewała się z otoczeniem. Z przeciwnej strony doliny zauważyliśmy nadchodzących Anglików. Łamiąc zasady, krzyknąłem ich w kierunku: – *Jest! Chodźcie tu szybko! Ona naprawdę tu jest!*

Kiedy dobiegli do nas, długo nie mogli złapać oddechu. Simon podał mi statyw z teleskopem, żebym pomógł mu namierzyć ukrytą

KRÓLOWA PIEROGÓW

Gospodni z doliny Rumbak jest mistrzynią tybetańskiej kuchni. Jej świetne pierożki *momo* powstają z mąki jęczmiennej produkowanej w wiosce.



FOT. MICHAŁ LUKASZEWICZ



FOT. M. PIKUSZEWICZ

w szczelinie zjawę. Jego przyrząd optyczny był niesamowity. Wyraźnie było widać wystające zza skały ucho. I nic więcej. Zgodnie jednak stwierdziliśmy, że godzina jest jeszcze młoda i pantera na pewno ruszy dzisiaj przed siebie.

Tuż przed zachodem słońca stało się, jak przypuszczaliśmy. Zjawa podniosła się z ziemi i wspięła na najbliższy dla niej punkt obserwacyjny. W pobliżu nie było widać żadnych nahurów. Trochę zrezygnowana zaczęła iść w stronę szczytu. Byliśmy już dawno w cieniu, wypatrując z dołu, jak jej smukła sylwetka przemierza się po oświetlonej słońcem grani. Cała nasza ekipa była tak podekscytowana, że na dobre kilka godzin całkowicie zapomnieliśmy o trzaskającym mrozie.

CO WIEMY O ZJAWIE

Przez ostatnie kilka dni naszego pobytu zobaczyliśmy śnieżną panterę jeszcze tylko raz. Tym razem w towarzystwie ekipy filmowej, która przyjechała do doliny Rumbak kręcić dokument na temat zjawy. Ich przewodnicy za pomocą teleskopów wypatrzyli śnieżną panterę poruszającą się po szczycie oddalonym od nas o trzy kilometry. Nikt nie chciał uwierzyć naszemu bliskiemu spotkaniu

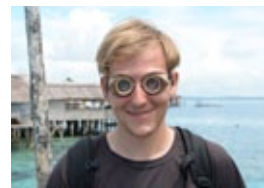
sprzed kilku dni, dopóki nie pochwaliliśmy się zdjęciami.

Śnieżne pantery to bardzo sekretne zwierzęta, o których nadal nie wiemy zbyt wiele. Szacuje się, że około 9 tys. osobników patroluje góry wysokie od Kirgistanu, przez Indie, aż po Chiny. Za wyjątkiem samic z młodymi prowadzą one samotny tryb życia. Każdego dnia pokonują dziesiątki kilometrów w poszukiwaniu pożywienia. Późna zima to czas, kiedy schodzą w niższe partie gór w poszukiwaniu partnera.

Park Narodowy Hemis jest jednym z najlepszych miejsc na świecie, gdzie mamy szansę zobaczyć je na wolności. Samą dolinę Rumbak regularnie odwiedza 10–15 kotów. Hemis to także wzorowa historia sukcesu relacji pomiędzy dzikimi zwierzętami a ludźmi. Jeszcze kilkanaście lat temu tubylcy polowali na śnieżne pantery, których futro na czarnym rynku sprzedaje się za cenę od 10 tys. euro w górę. Z inicjatywy rządowej rozpoczęto projekt ekoturystyczny, mający na celu ochronę śnieżnej pantery. Dzięki temu Park Narodowy Hemis może się obecnie poszczycić największym ich zagęszczeniem na świecie, a mieszkańcy okolicznych wiosek nauczyli się, że ochrona śnieżnej pantery bezpośrednio wiąże się ze stabilnością ich przychodów w przyszłości. ○

SPOJRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

W Parku Narodowym Hemis w pobliżu Leh (miasto widoczne w dole) jest największe zagęszczenie śnieżnych panter na świecie. Ich dalsze przetrwanie zależy głównie od ograniczenia ingerencji człowieka, co tutaj akurat spotyka się ze zrozumieniem.



Michał Łukaszewicz

Pasjonat przyrody, zapalony fotograf i miłośnik gór. Podróżuje po dzikich, trudno dostępnych miejscach, by zaspokoić swoją ciekawość i rozbudzić ją u innych.

VENZONE

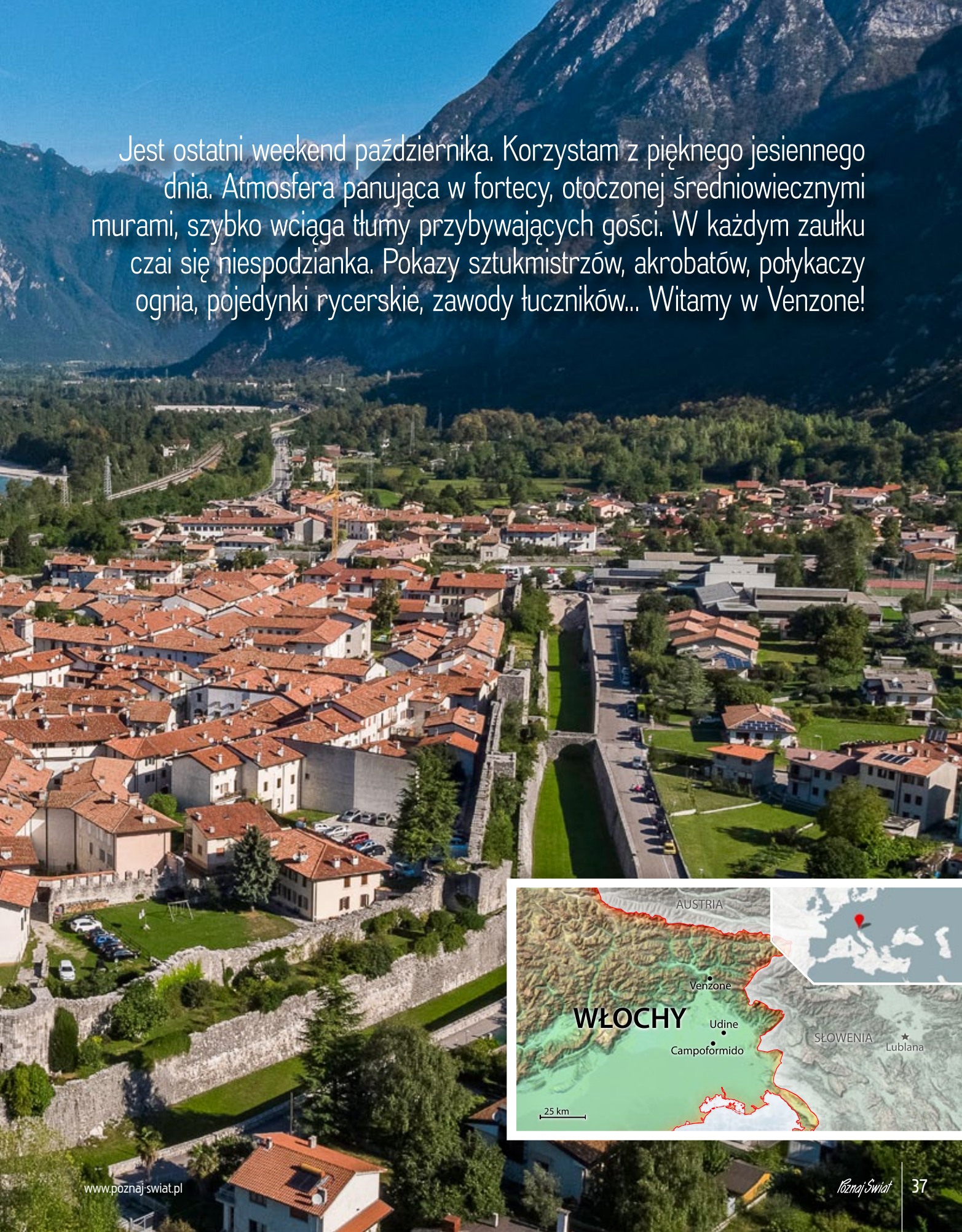
FORTECA Z POPIOŁÓW

Agnieszka Jankowska



DT SHUTTERSTOCK

Jest ostatni weekend października. Korzystam z pięknego jesiennego dnia. Atmosfera panująca w fortecy, otoczonej średniowiecznymi murami, szybko wciąga tłumy przybywających gości. W każdym zaułku czai się niespodzianka. Pokazy sztukmistrzów, akrobatów, polycacy ognia, pojedynki rycerskie, zawody łuczników... Witamy w Venzone!



Italia ze swą mnogością zabytków wydaje się całkowicie odkryta, opisana i skatalogowana. Trudno więc znaleźć miejsca mało znane, ale na szczęście takowe istnieją. Obfituje w nie region Friuli-Wenecja Julijska, położony na północnym wschodzie Włoch, na styku trzech kultur: włoskiej, austriackiej i słoweńskiej. Przy drodze z Udine na północ w kierunku Austrii napotkamy miasto wyjątkowe: średniowieczną fortecę Venzone.

NAJPIĘKNIEJSZE W ITALII

Już z zewnątrz widzimy jej piękną panoramę, z gamą kolorów, na którą składają się: zielen parku narodowego pobliskich Alp Julijskich, błękit opływającej je rzeki Tagliamento i wielobarwność flag zatkniętych na murach. To tylko zapowiedź atrakcji ukrytych wewnątrz. Wyjątkowość miasteczka dostrzegli widzowie włoskiej telewizji RAI,

którzy w 2017 r. w corocznym plebiscycie na najpiękniejsze miasteczko Włoch wybrali właśnie Venzone.

Było zawsze uprzywilejowane ze względu na lokalizację. Leżało na traktach, który przemierzali wędrowcy, handlowcy i pielgrzymi. Jego nazwa była cytowana w 923 r. w dokumencie wydanym przez cesarza Berengario I, który przekazywał ziemię biskupowi Allone z Belluno. Z czasem ulegała ona modyfikacjom: Abinciones, Aventionone, Avenzone, Avenzon, wreszcie Venzone, a pochodzi od strumienia Venzonassa. W 1077 r. osada weszła w skład patriarchatu Akwilei, sprawując kontrolę nad ruchem handlowym między Italią a rynkami północnej Europy. Od 1200 r. miasteczko było w rękach feudalnej rodziny Mels, która przyczyniła się do wzrostu jego znaczenia na tyle, że w XIII w. przyznano mu status gminy wraz z prawem organizowania raz w tygodniu targu.

SERCE DZIELNEGO MIASTA

Plac Ratuszowy jest punktem centralnym miasta – jego sercem, żyjącym na przekór kataklizmom. W różnych porach roku gości wiele imprez.



FOT. AGNIESZKA JANOWSKA



Położenie Venzone, oprócz tranzytowego, miało jeszcze znaczenie obronne. Otoczone górami i wodami rzek i strumieni, było fortecą idealną. W 1258 r. Glizoio di Mels zdecydował się ją znacznie wzmocnić i wybudował podwójny pas murów otoczony głęboką fosą. Miasto funkcjonowało znakomicie, a jego upadek rozpoczął się pod panowaniem weneckim. Potem, na przestrzeni dziejów, przechodziło z rąk do rąk – panowanie tureckie, francuskie, austriackie. W 1866 r. przyłączono je do Królestwa Italii.

ŚWIĘTO DYNII

Na to październikowe święto można tu dojechać specjalnym pociągiem parowym uruchamianym na tę okazję. Jest przygotowywane corocznie w Venzone z dużym rozmachem, organizacja trwa kilka miesięcy. A wszystko po to, żeby oprócz smaku dyni dać gościom

poczuć smak historii, tradycji i duszy miasta. I udaje się to znakomicie. Przygrywa średnio-wieczna muzyka, często w wykonaniu grup w strojach z epoki; na dziedzińcach pałaców odbywają się walki rycerskie; można podziwiać żonglerów, połykaczy ognia, rycerzy i damy w kolorowych strojach, a także rzemieślników przy pracy, używających jako tworzywa miedzi, żelaza, kamienia czy wikliny. Możemy też asystować przy produkcji świec lub wypiekanu chleba.

Witryny sklepików i restauracji są ustrojone motywami dyni, a z lokali dobiegają zapachy potraw przygotowanych na jej bazie. Nazwy tawern nawiązują do historii i charakteru tego miejsca, możemy zatem zjeść U Wędrowca, w Klasztorze, U Patriarchy, Pod Czarnym Kotem. Dynie wykorzystywane w restauracjach pochodzą z pobliskich upraw. Jest nawet rywalizacja – przyznaje się nagrodę za najmniejszy, największy i najdziwniejszy

W STYLU WENECKIM

Pałac Miejski i okolicznościowa scena na czas październikowego Święta Dyni. Architektura budynku obfituje w ślady epoki weneckiej, m.in. herby szlacheckich rodzin, które zamieszkiwały fortecę.



PRO MEMORIA

W 1996 r., dwadzieścia lat po trzęsieniu ziemi, w katedrze św. Andrzeja stanęła rzeźba upamiętniająca ofiary tragedii. Dzieło przedstawia ich zmartwychwstanie, a jednocześnie symbolizuje walkę o przetrwanie całego miasta.

owoc. W historii święta odnotowano dynię ważącą ponad 250 kg, najdłuższa zaś przekroczyła 250 cm.

Mijam zaułki i podążam za tłumem, który zmierza do serca miasta – placu Ratuszowego. Specjalnie ozdobiony na tę okazję pałac Miejski to charakterystyczny budynek, w którym wyraźnie można wyróżnić dwie części. Na wyższą wchodzi się schodami zewnętrznymi, niższą stanowi loggia, z freskami Pomponio Amalteo z XV w. Narożną wieżyczkę ozdabiają zegar i lew św. Marka, symbol weneckiej dominacji. Pałac pochodzi z XV w., a budowano go dwadzieścia lat.

Moment szczególny święta to późne niedzielne popołudnie, kiedy elektryczność w miasteczku zastępują pochodnie, latarnie i świece.

PRZEBUDZENIE POTWORA

Pałace i ulice oddają ducha epoki. Mury okalające Venzone mogły kojarzyć się z bezpieczeństwem i spokojem. Nie były one jednak w stanie chronić mieszkańców przed

kataklyzmami wywoływanymi przez naturę. Najpierw w 1966 r. przysłała powódź, kiedy wylała rzeka Tagliamento, a 6 maja 1976 r. nastąpiło to najgorsze – trzęsienie ziemi. Ziemia w regionie Friuli zadrżała z siłą 6,5 stopnia w skali Richtera. Był ciepły majowy wieczór i nikt nie spodziewał się, że następnego dnia życie tysięcy osób legnie w gruzach – metaforycznie i dosłownie. Runęły pałace, domy, kościoły, mury i mosty. Cztery miesiące później, we wrześniu, ziemia zadrżała ponownie, pochłaniając kolejne ofiary i domostwa. Życie straciło 52 mieszkańców miasteczka.

Żal i trwoga były ogromne. Wydarzenie to nawet personifikowano, wiążąc z legendą o potworze o imieniu Orcolat. Był to zły olbrzym, który wprawdzie pojawiał się rzadko, ale gdy już, to robił dużo ryku i hałasu, powodując też drgania ziemi. Pewnego dnia usłyszał śpiew dziewczyny piorającej w rzece. Zakochał się w niej i postanowił ją poślubić. Ale ona nie podzielała jego zamiarów, buntowała się, uciekała. Potwór nalegał, więc jego wybranka zwróciła się do Królowej Śniegu o pomoc. Ta zamieniła ją w górę, a dręczyciela

w szczyt górski – Monte San Simeone, niedaleko Venzone. Podobno ilekroć chce się wydostać z góry, żeby odwiedzić ukochaną, ziemia aż drży...

Venzone po tragedii stopniowo odradzało się, mieszkańcy, odbudowujący zniszczenia, w swej wytrwałości i zapale przypominali Japończyków. Pracom przyświecała idea „Najpierw fabryki, potem domy, na końcu kościoły”, rzucona przez ówczesnego arcybiskupa Udine. Do odbudowy przystąpili zresztą przy pomocy ochotników z całych Włoch. Zastosowano metodę rekonstrukcji zwaną anastylozą, polegającą na odtwarzaniu zrujnowanych budynków przy użyciu zachowanych fragmentów oryginalnych. Była to wówczas metoda innowacyjna, obecnie stosuje się ją powszechnie. Zbierano kamienie, numerowano je i kładziono na ich pierwotne miejsca. Efekt okazał się niesamowity.

Miasteczko, po latach ciężkiej pracy, nadal ma charakter średniowiecznej osady i wręcz trudno wyobrazić sobie, w jakim stopniu było zniszczone. Pomaga w tym stała wystawa „Tiere Motus. Historia trzęsienia ziemi i jego ludzi”. To swoiste multimedialne świadectwo tragedii z 1976 r., podróż w czasie poprzez obrazy i dźwięki. Ci, którzy przeżyli tragedię, pamiętają tamten wieczór bardzo dokładnie, ze szczegółami. Blogger Elio Copetti, który wtedy

uczęszczał do pierwszej klasy gimnazjum, tak go wspominał 36 lat po katastrofie: „Odrabiałem pośpiesznie lekcje w kuchni. Miałem za plecami salon z telewizorem, mój ojciec leżał na tapczanie. Czasem się oglądałem i spoglądałem na ekran: zabijali krokodyle gdzieś w Afryce. Mama i brat leżeli już łózkach...”.

Elio był dla mnie kolejnym odkryciem w Venzone. Skontaktowałam się z nim, żeby porozmawiać o tamtej tragedii. Jest malarzem i grafikiem cyfrowym, a jego prace, tworzone w scenerii średniowiecznej fortecy, są wystawiane w kraju i za granicą.

KRZYK Z OTCHŁANI

Ta katedra została zbudowana na początku XIII w. przez architekta Giovanniego Griglio, który stworzył także katedrę w Gemonie, swoim rodzinnym mieście. Tę w Venzone wyświęcono w 1338 r. Przypuszcza się, po analizie znalezionych pozostałości, że na tym miejscu już w VI w. stał mały kościółek, później rozbudowany przez Glizoio di Mels (tego od murów). Na pierwszy rzut oka wewnątrz wydaje się surowe, ascetyczne. Pozornie tylko, bo ta świątynia w stylu romańsko-gotyckim jest bogato zdobiona. Są np. liczne płaskorzeźby przedstawiające sceny biblijne oraz freski autorstwa mistrza Vitale da Bologna, m.in. pefen

GÓRA ORCOLATA

Fragment panoramy Venzone. Góruje nad nim dzwonnica romańsko-gotyckiej katedry. W oddali szczyt, z którego mógł przybyć Orcolat – potwór z ludowych podań, obwiniany jako sprawca kataklizmu...



NAPOLEON TU BYŁ

W kamiennej kaplicy św. Michała nieopodal katedry można zobaczyć mumie odkryte w podziemiach. Dzięki znalezisku o Venzone dowiedziela się cała Europa i sam Napoleon pofatygował się, aby je zobaczyć.



kontrastujących kolorów „Święty Grzegorz uwalniający księżniczkę od smoka”.

Rzeźba „Opłakiwanie Chrystusa zmarłego”, z kolorowego i połączanego drewna, przedstawia ośmiu żałobników pogrążonych w bólu. Wykonano ją w lipie w 1530 r., co pozwala przypuszczać, że autor pochodził z Niemiec, gdzie używano tego gatunku drewna. Niektóre postacie są okaleczone, z innych odpadła farba – rzeźba podzieliła bowiem tragiczny los całego Venzone.

Inna rzeźba jest jeszcze bardziej sugestywna. Ludzie stojący w kręgu, odwrócenie twarzami w stronę jego wnętrza, wszyscy, mali i duzi, wspinają się na palcach i wyciągają ręce do góry, w stronę nieba, światła, życia... „Z otchłani krzyczą do Ciebie, Panie” – to dzieło rzeźbiarza friulijskiego, Franco Maschio, które stanęło w katedrze w 1996 r., w dwudziestą rocznicę trzęsienia ziemi. Maschio mówi, że stara się tworzyć rzeźby, z którymi utożsamia się dana społeczność. Przed przystąpieniem do pracy studiuje zawsze historię miejsca, poznaje jego charakter i ludzi. Nie inaczej było w Venzone. Stworzył postacie nieme, tragiczne, ale z nadzieją, że mimo ciemności i rozpaczy jest jeszcze światło i radość.

Katedra św. Andrzeja w Venzone ma też swoje polonica. Jest w niej pochowany książę

bytomsko-kozielski Bolesław, ostatni męski przedstawiciel Piastów bytomskich. Wyruszył z wyprawą przyszłego króla czeskiego Karola IV do Rzymu po koronę. Zmarł w drodze powrotnej na Śląsk w niewyjaśnionych okolicznościach i został pochowany w tej katedrze.

MUMIE PACHNĄCE LAWENDĄ

Wizyta w Venzone w dniu Święta Dyni wzbudziła apetyt na dalsze poznawanie miasta. Wracam więc po kilku miesiącach, aby bez tłumów, ze spokojem, zobaczyć... mumie.

Nie przypuszczałam nigdy, że w małym włoskim miasteczku napotkam tyle ciekawych rzeczy. Obok katedry stoi kamienna okrągła kaplica św. Michała, kryjąca w podziemiach kryptę. Budynek pochodzi z XIII w. i przypuszcza się, że służył jako chrzcielnica. To kolejny przykład budowli odrestaurowanej przy użyciu anastylozy. Mieszkańcy nie wyobrażali sobie miasta bez tej kaplicy, która od ponad wieku była muzeum i miejscem eksponowania osobliwości z pobliskiej katedry.

Był rok 1647, kiedy przy okazji przesuwania jednego z sarkofagów znaleziono mumię. Później, w XIX w., odkryto blisko 40 kolejnych. Po ogólnym zaskoczeniu znaleziskiem zajęli się naukowcy, poszukując jego genezy. W końcu stwierdzono, że przyczyną samomumifikacji ciał był grzyb pasożytniczy panujący w katedrze, który spowodował osuszanie zwłok. Jako czynnik ułatwiający mumifikację naukowcy wskazali także na fosforany wapnia, w które obfitowała ziemia pod katedrą.

Mumie z Venzone zaintrygowały całą Europę. Część z nich trafiła do kościoła Inwalidów w Paryżu, część do muzeum w Wiedniu. Podobno przyjechał je zobaczyć sam Napoleon, który przebywał we Friuli przy okazji podpisania w 1797 r. w Campo Formio (dziś Campoformido) pokoju z Austrią. Trzęsienie ziemi przetrwało tylko 15 mumii, a obecnie w krypcie jest ich pięć.

Po wizycie w kaplicy spaceruję uliczkami kolorowego miasta. Jedna barwa wybija się szczególnie. To kolor, który przywodzi na myśl Francję, a dokładniej Prowansję. Fiolet oraz lawenda towarzyszą tu co krok. Liczne, pięknie ustrojone sklepiki oferują różnorodne produkty stworzone z tej rośliny. Oferta jest



ŚWIĄTECZNY ODPOCZYNEK

Witryny sklepów i mury domów w Święto Dyni są ozdobione oczywiście jej motywami, także w kolorze lawendy, która jest w miasteczku wszechobecna. Na ten czas przybywają tu rzesze okolicznych mieszkańców oraz turyści.

szeroka i wykorzystuje właściwości kosmetyczne, lecznicze, zdobnicze, a także kulinarne lawendy. Jakie wyroby kulinarne? Biskupki, paluszki, miód, likiery...

Z tutejszą lawendą to jest dziwna historia. Niektórzy mieszkańcy miasta narzekają na forach, że reklamowanie rośliny jako specjalności Venzone to nadużycie, bo przecież nigdy nie widzieli fioletowych pól w pobliżu. No ale faktem jest, że lawenda, nawet jeżeli nie pochodzi z okolicznych upraw, to w samym mieście jest eksponowana bardzo wyraźnie – widziałam, wahałam, dotykałam.

WBREW APOKALIPSIE

Trafiam ponownie na plac Ratuszowy. Piję kawę w kawiarni naprzeciwko pałacu Miejskiego. Myśli ponownie biegną do trzęsienia. Budynek przede mną jest imponujący,

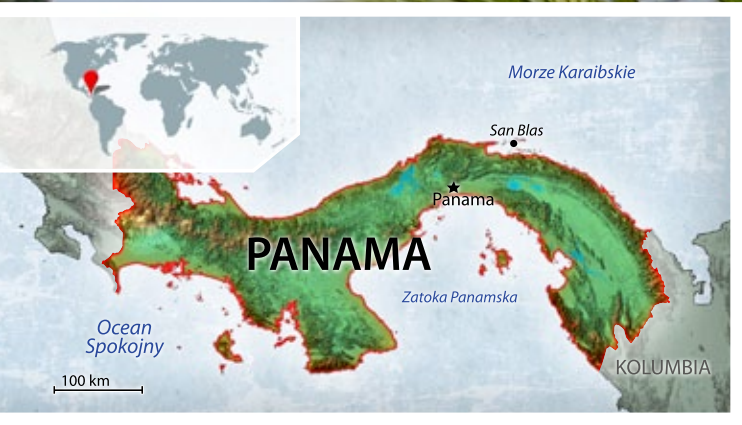
a odrodził się dzięki mieszkańcom niczym Feniks z popiołów. Jak całe miasto. Prawie całe, bo wystarczy wyjść z placu, żeby zobaczyć ruiny XIV w. kościoła pw. św. Jana Baptisty. To jedyny kościół, który celowo nie został odbudowany. Ocalała jego fasada główna z gotyckim portalem. Stoi w takim stanie jako nieme i wiele mówiące świadectwo apokalipsy.

W mieście na każdym kroku widać dzieci. Mieszkają tu albo przyjeżdżają z rodzicami na liczne święta i festy. Obecność dzieci daje zawsze nadzieję, że będzie jutro, a straszny Orcolat nigdy już nie zaryczy ze swojej góry. W Venzone jest ruch, nie brakuje wystaw i spektakli, a także targów – książek, staroci, rękodzieła artystycznego. Do tego są organizowane wyścigi kolarzy czy biegaczy. Nie sposób tu się nudzić. Piękne, stare Venzone chce pokazać, że wciąż żyje. Wbrew apokalipsie. ○



Agnieszka Jankowska

Dziennikarka i tłumaczka języka włoskiego, od kilku lat mieszka w tym kraju. Poślubiła Italiję w przenośni i dosłownie, wychodząc za karabiniera. Najważniejsza rola w życiu: mama Frania, któremu próbuje zaszczyć zamilowanie do podróży.



Ewa Treszczotko

W KUNA YALA NA UKUTUPU

Okazuje się, że są na świecie miejsca, których nie ma w Wikipedii, które nie wyświetlają się na mapach internetowych i nie mają zarejestrowanej nazwy. Na przykład Ukutupu.

Panama ma pewien region autonomiczny, któremu władze kraju pozostawiają wolną rękę, do tego stopnia, że aby wjechać na te ziemie, trzeba okazać paszport, jak na międzypaństwowej granicy. To region Kuna Yala zamieszkały przez Indian Kuna.

Do terenów tej rdzennej ludności przynależy, poza częścią kontynentalną, także 365 wysp rozmieszczonych wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża – od poziomu Kanału Panamskiego aż do terytorium Kolumbii. Wyspy są tak małe, że niektóre mają zaledwie 20–30 m długości i tylko miejscowi znają ich dokładne położenie. Większość nie jest wyszczególniona na mapach Google. Jedną z wysp jest Ukutupu, którą odwiedziłam.

NIE DO KUPIENIA

Po wirtualnych poszukiwaniach wśród couch-surferów znalazłam tylko jedną osobę mieszkającą na tych ziemiach. Był nim rodowity Kuna, Aurelio. Wyspa, na której mieszka mój gospodarz, nosi nazwę Wichub Huala (inny zapis to Wichub Wala) i również nie jest oznaczona na mapach. Tuż obok jest Ukutupu.

Nie ma tam wielu udogodnień, jak wi-fi, ciepła woda czy pralka. Prysznic to drewniana komórka stojąca na drewnianych balach w morzu. Jest tam wielki baniak ze słodką wodą, obok leży przecięta w połowie plastikowa butelka, która służy jako nabierak. Należy oszczędnie się polać, namydlić i splukać. Słodką wodą na wyspie otoczonej słonymi falami Morza Karaibskiego to może nie rarytas, ale na pewno nie towar, który można marnować. Co ciekawe, nocleg w prymitywnym pokoju na balach, z dzielonym z resztą wyspy prysznicem i wychodkiem na końcu pomostu, kosztuje 60 dolarów za noc.

Indianie Kuna są bardzo przedsiębiorczy i zarabiają, na czym się da. Nie można im mieć tego za złe, bo mają prawo do ustanawiania własnych zasad, które przybywający muszą uszanować. Chodzi nie tylko o zarabianie pieniędzy, ale też o ochronę unikalnej kultury i szacunek dla norm społecznych. Kunowie np. nie mogą sprzedawać swoich wysp obcym, nawet gdyby oferowano im miliony.

Tutejsi cieszą się autonomią wywalczoną kiedyś drogą rewolucji. Wielokrotnie zmuszani do migracji, nie dali narzucić sobie kultury Zachodu, systemu szkolnictwa czy zasad prawnych. Dzięki odwadze, silnym liderom i determinacji, a także mediacji Stanów Zjednoczonych (chciały chronić swoje interesy związane z Kanałem Panamskim) władze ostatecznie w 1938 r. uznały autonomię regionu.

PRAWDZIWY MATRIARCHAT

Każda wyspa ma swoją radę, taki miniparlament, i może wprowadzać własne prawa. Wjazd na terytorium Kuna Yala kosztuje 10 dolarów, przebywanie w każdym porcie, z którego popłynie się łódką, wymaga „opłaty portowej” 2 dolarów. Wiele wysp ma rajskie plaże, a ponieważ dużo z nich jest



FOT. EVA TRZCZCOTKO



prywatną własnością rodzin, za przebywanie tam należy zapłacić kolejne 2 dolary. Z kolei za robienie Indianom zdjęcia z bliska trzeba zapłacić dolara.

Kilka aspektów kultury Kuna skupia uwagę świata. Najczęściej mówi się o nich w kontekście utrzymania regionalnej niezależności i silnego oporu wobec amerykańskiej. Podnoszone są także tutejsze tradycje związane z pochówkiem oraz statusem kobiet. O ile zwyczaję pogrzebowe mogłam poznać wyłącznie w lokalnym muzeum, o tyle o pozycji kobiet dowiedziałam się z pierwszej ręki. Kulturę Kuna cechuje matriarchat, kobieta pełni tu rolę ważniejszą niż mężczyzna. Dla przykładu gdy para bierze ślub, to mąż przeprowadza się do domu żony i jej rodziny, aby przekonać ich, czy będzie dobrze spełniał swoje obowiązki. Dopiero po udowodnieniu, że będzie dobrym mężem, para może wyprowadzić się „na swoje”. Mężczyzna pracuje, ale

kobieta zarządza domowym budżetem. Nawet jeśli mąż zarobił więcej niż zwykle, oddaje pieniądze żonie i ona wydziela mu kieszonkowe. A w sprawach spadkowych to córki dziedziczą w pierwszej kolejności.

Kobiety noszą tradycyjne stroje tylko wtedy, gdy sobie tego życzą (mężczyźni ubierają się wyłącznie w stylu zachodnim). Do takiego ubioru muszą jednak mieć krótkie włosy. Ścina się je po pierwszej menstruacji i jest to oznaką, że dziewczynka stała się kobietą gotową do związku i posiadania dzieci. Pożądany jest też złoty kolczyk w przegrodzie nosowej, który świadczy o stanie cielesnej dorosłości, a także bransoletki z koralików ciasno oplecione wokół kostek, aby je z czasem wyszczupliły. Według lokalnego kanonu piękna smukłe kostki i łydki są atrakcyjne.

Kobiety noszą *mole*, czyli haftowane części bluzki, które ręcznie wyrabiają dla siebie i w celach handlowych. Krewne Aurelio powiedziały

NIE KIERUJĄ, ALE RZĄDZĄ
Indianki w tradycyjnych
strojach na tle
nowoczesnych
terenówek. Ich mężczyźni
mają furię, za to one
(matriarchat!) – władzę.

OCEAN DO SNU

Wyspa Ukutupu, leżąca obok wyspy Wichub Huala. Odwiedzający je turyści mogą przenocować w domkach na palach. W nocy ocean ukołysze ich do snu.



FOT. EWA TRZESZCZOTKO

EWA I AURELIO

Znaleziony za pośrednictwem couchsurfingu gospodarz Aurelio serdecznie podjął autorkę Ewę, objaśniając jej obyczaje i tajemnice kultury Kuna.



FOT. EWA TRZESZCZOTKO

mi, że *mole* sprzedają głównie Chińczykom, po 150–300 dolarów za sztukę. Najdroższe wyroby osiągają nawet 400 dolarów.

DAJ MI SWÓJ FACEBOOK...

Czekanie na Aurelio przez kilka godzin w porcie w Tupile zaowocowało ciekawymi przyjaźniami. Pierwszą osobą był pracujący tam Manu, który po 5 minutach znajomości powiedział: – *Może dasz mi swój facebook, tak na wypadek, gdybyś chciała wyjść za mnie za mąż.* Oczywiście śmiałam się z tego, ale za tym spontanicznym tekstem stoi głębszy temat. Podróżując po Ameryce Łacińskiej, słyszałam wielokrotnie, że Indianie płci męskiej, i nie tylko Kuna, ale i rdzenne grupy w Boliwii czy Peru, szukają europejskich lub amerykańskich żon, aby rozkręcić swój biznes. Manu opowiedział mi, jak na sąsiedniej wyspie pewien Kuna

ożenił się z Hiszpanką. On miał ziemię, ona – pieniądze. Zbudowali hotel za jej pieniądze na jego ziemi i teraz żyje im się całkiem dobrze.

Siedząc w porcie, przed dłuższy czas budziłam w miejscowych nie mniejsze zainteresowanie niż oni we mnie. Było sielsko i wesoło, aż do momentu, gdy miałam przyjemność poznać Sekretarza ds. Turystyki Narodu Kuna. Jego rola jest podobna do zadań stróża porządku publicznego wyższej rangi. Siedzenie na ławce z czterema Indianami i kierowcą terenówki organizującym wycieczki turystom, popijanie wody z kokosa, opowieści o Polsce i słuchanie w zamian historii moich nowych znajomych nie było typowym zachowaniem. Szablonowy turysta powinien dotrzeć do portu, zapłacić 2 dolary i odплыnąć łódką zaraz po

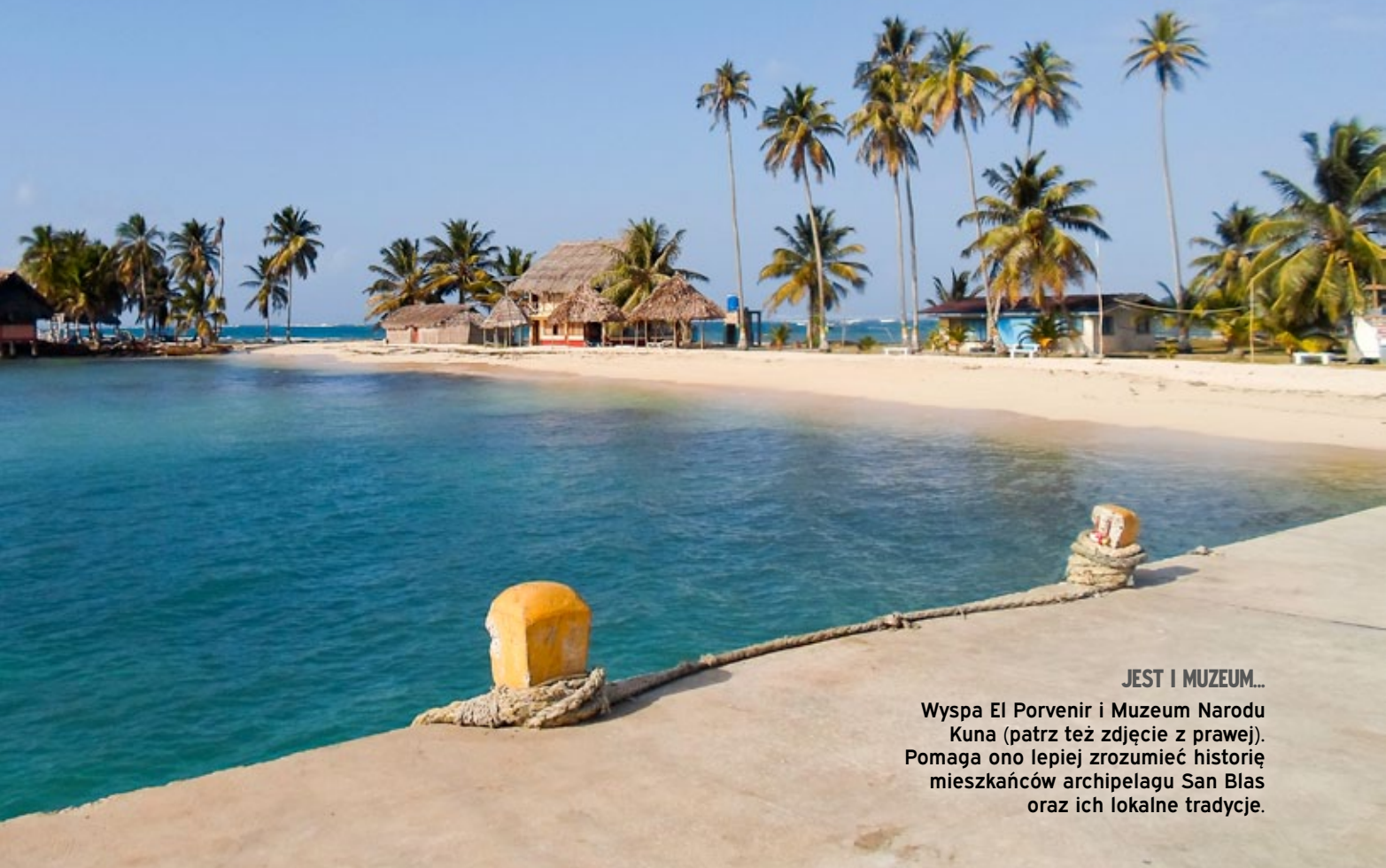
uiszczeniu opłaty. Byłam jedyną osobą, która nie płaciła za pobyt.

Pan sekretarz początkowo się zezłościł. Musiałam dać mu numer telefonu do Aurelio i wytłumaczyć, czemu tu jestem i jak znalazłam mojego gospodarza przez coach-surfing. Powiedziałam, trochę koloryzując, że przygotowuję się do doktoratu ze studiów latynoamerykańskich w jednej z najlepszych instytucji naukowych Europy Wschodniej, że nie mam nawet ubezpieczenia w mojej samotnej podróży ani nie czuję zagrożenia, bo *angelitos me cuidan bien*, czyli opiekują się mną anioły. Odniesienia do edukacji i wiary zawsze budzą w krajach latynoskich zaufanie. Po części przekonałam go. Zaczął nawet opowiadać, jak to był na studenckim stypendium w Rosji,

SILNA GRUPA

Czas mijał też na wesołych rozmowach z miejscowymi. Na zdjęciu czterech rdzennych Indian Kuna i panamski kierowca przywozący turystów ze stolicy.



**JEST I MUZEUM...**

Wyspa El Porvenir i Muzeum Narodu Kuna (patrz też zdjęcie z prawej). Pomaga ono lepiej zrozumieć historię mieszkańców archipelagu San Blas oraz ich lokalne tradycje.

nie umiejąc mówić po rosyjsku. Wspominał pewnego Indianina Kuna, który 30 lat temu polecał studiować do Polski i tam został.

W końcu Aurelio, trzydziestoletni absolwent turystyki w Panama City, prowadzący obecnie rodzinny biznes, przypłynął łodzią motorową i zabrał mnie na swoją wyspę. Na San Blas łódź to jak u nas samochód. Młodzi ludzie popisują się, brawurowo sterując łódkami, tak jak w Polsce młodzi kierowcy samochodami na szosach. Bałam się, wcześniej nikt tak szybko i nieostrożnie nie prowadził motorówki ze mną na pokładzie, i to na pełnym morzu, ale dla ludzi wychowanych na karaibskich falach to coś normalnego.

W GOŚCINIE U AURELIO

Pierwsze dni były edukacyjne. Aurelio opowiadał mi o zwyczajach i codziennej rutynie. Pokazał swoją wyspę i kilka sąsiednich, odwiedziliśmy miejsce posiedzeń lokalnych władz i cotygodniowych zebrań mieszkańców, Centrum Zdrowia Wichub Huala, Centrum Sportu Wichub Huala oraz fascynujące Muzeum Narodu Kuna. Gospodarz przedstawił mi swoją rodzinę, od dziadka zaczynając, a kończąc na malutkich siostrzeńcach oraz domowych zwierzętach.

Miłym doświadczeniem było poznanie najmłodszych kuzynów mojego gospodarza, Keitheen, Derecka i Ytana, okazujących na



każdym kroku dziecięcą dobroć i naiwność. Dziesięcioletnia dziewczynka zobaczyła, że mam pomalowane na białą paznokcie, i następnego dnia przyniosła mi prostą bransoletkę zrobioną z kawałka uplecionej nitki w białym kolorze. Wręczając prezent, wskazała na moje paznokcie. Tuż za nią dreptał malutki Ytan, który na moje przybycie ubrał swój najlepszy strój, czyli kostium... Spidermana. Przywitałam się też z domowym pupilem, papugą Feni, która przyłgnęła do mnie tak samo jak dzieci. Gdy ręka zaczynała mi drętwieć od trzymania w górze, papuga przeskakiwała na drugą i tak w kółko przez dobry kwadrans. Udaliśmy się do mojego pokoju na wodzie. Dzieci z ciekawością zaglądały do bagażu, a saszetka z kosmetykami, którą niedbale rzuciłam na łóżko, w ich oczach była skrzynią skarbów. Później przyszła pora na zabawę aparatem fotograficznym, który najmniejszy z kuzynów uszkodził, wpychając palce w przesłone obiektywu.

Po dołożeniu się do paliwa kolega Aurelio zabrał mnie wraz z grupą panamskich turystów na *island hopping*, czyli pływanie między wyspami z przystankami na kilku

z nich. Panamskie wyspy archipelagu San Blas znajdziemy w czołówkach rankingów najpiękniejszych plaż świata. Krajobrazy były rajskie, a odcień wody odbierał mowę. Chaty z liści palmowych, brak prądu i kontaktu z cywilizacją oraz kobiety w pięknych, wielobarwnych strojach. No i węszący dolary Indianie.

Wizyta u Indian Kuna była wyjątkowym doświadczeniem. Nie chciałam jednak zostać tam dłużej. Ciężko zasnąć w pokoju na balach wbitych w morskie dno, kiedy fale w nocy uderzają o podłogę z taką siłą i hukiem, jakby trwała właśnie polska letnia burza, do tego atakująca z każdej strony. Codzienność na terytoriach Kuna Yala to piękne, nietuzinkowe życie, ale nie moje.

Rzadko obcokrajowiec z kraju kultury zachodniej odwiedza te wyspy tak po prostu. Jako gość tubylca nie płaciłam za pobyt i byłam traktowana inaczej. Lokalne kobiety nie wyskakiwały z chat na mój widok i nie oferowały haftowanych *molas*. Byłam w idealnym punkcie obserwatora. To, co widziałam, słyszałam i doświadczyłam, to pięknie praktykowana, unikatowa kultura, z zielonym szeleszczącym banknotem w tle. ○

ZBIJANIE KOKOSÓW

Tubylcy, mający niewątpliwie zmysł handlowy, dbają i o to, aby turyści nie jedli darmowych kokosów. Za wszystko trzeba płacić, może poza couchsurfingiem.



Ewa Trzeszcotko

Przed trzydziestką odwiedziła 60 państw. Absolwentka stosunków międzynarodowych na ul. i kulturoznawstwa Ameryki Łacińskiej na UW. Certyfikowany trener personalny oraz absolwentka American Fitness and Nutrition Academy w Kalifornii. Mówi biegle w pięciu językach. Mieszka w Londynie. Pochodzi ze Starego Berezowa na Podlasiu.

GEOSKOP

OBEJRZANE PRZECZYTANE ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

SPRAWDŹ SIĘ NA HARPAGANIE

Ekstremalny Rajd na Orientację Harpagan to największa impreza na orientację w Polsce. Dwa razy w roku, wiosną i jesienią, gromadzi ponad 1200 uczestników, a jej baza jest zawsze zlokalizowana w województwie pomorskim. Najbliższy Harpagan odbędzie się w Bożympolu Wielkim w dniach 18–20 października. Będzie to już trzecia edycja rajdu w tym miejscu – ostatni raz zawitał w Bożympolu Wielkim podczas H-47, ponad 5 lat temu.

Uczestnicy przemierzają trasy, korzystając z otrzymanych na starcie kolorowych map, na których są zaznaczone punkty kontrolne. Ich charakterystyka jest bardzo zróżnicowana: mogą to być zarówno elementy topograficzne (skrzyżowanie, górka, jezioro), jak i krajoznawcze (pomniki przyrody ożywionej i nieożywionej, punkty widokowe, inne ciekawe miejsca). Odnalezienie takiego punktu w terenie uczestnik potwierdza przez zbliżenie chipa do stacji stojącej w danym miejscu. Jako pierwsze, w piątkowy wieczór, z placu startowego wyruszają trasy: piesze 100 km, 50 km oraz mieszana 150 km. W sobotę rano: rowerowe 20, 50, 100 i 200 km oraz pozostałe piesze: 10, 25 i 50 km.

Zazwyczaj w ciągu dnia w bazie imprezy mają miejsce dodatkowe atrakcje, przygotowywane przez gminy goszczące rajd. Przez cały okres trwania imprezy jest prowadzona relacja na profilu facebookowym – Harpagan na żywo. Oficjalne zakończenie odbywa się godzinę po zamknięciu limitu czasowego najdłuższej trasy pieszej, o godz. 22.00. Następuje wtedy uhonorowanie najlepszych pamiątkowymi certyfikatami i medalami, a także losowanie cennych nagród wśród wszystkich obecnych uczestników.

www.harpagan.pl/raid

Ekstremalny Rajd na Orientację
HARPAGAN-58
Bożepole Wielkie, 18-20.10.2019

■ **TRASY PIESZE**
100 km - 50 km - 25 km - 10 km
 ■ **TRASY ROWEROWE**
200 km - 100 km - 50 km - 20 km
 ■ **TRASA MIESZANA**
150 km (50 km pieszo & 100 km rowerem)

DLA NAJLEPSZYCH - WYŚCIG
DLA WIĘKSZOŚCI - WYZWANIE
DLA NIEKTÓRYCH - RYWALIZACJA
DLA WSZYSTKICH - PRZYGODA!

PATRONAT HONOROWY ORGANIZATOR







DUŻYM FIATEM DOKOŁA ŚWIATA

Ponad 42 tys. km, 34 kraje, 3 kontynenty i 2 przeprawy oceaniczne. Tak wygląda w skrócie największa wyprawa w historii polskiej motoryzacji. Joanna i Paweł Poterscy w październiku 2018 r. wyruszyli z Gorzowa w podróż dookoła świata polskim fiatem 125p. Do tej pory przejechali całą Azję, w tym m.in. Iran, Pakistan, Indie, Nepal, Myanmar, Laos i Kambodżę. W październiku tego roku, po przetransportowaniu fiata z Kuala Lumpur do Vancouver, ruszają w dalszą drogę przez Kanadę i Stany Zjednoczone. Cała wyprawa ma się zakończyć na początku 2020 r. i będzie to pierwszy raz, kiedy samochód polskiej produkcji okrąży Ziemię.

www.dookolafiata.pl



KAMPEREM NAD BAJKAŁ

KamperManiak to Aldona i Daniel. Małżeństwo podróżników, które rzuciło wszystko i ruszyło w świat. Łączy ich pasja poznawania, którą chcą się dzielić. Właśnie ruszyli w podróż „Kamperem nad Bajkał 2019”. Rosję wybrali właśnie dlatego, że kryje ona wiele niewiadomych, tak jak ich nowe życie. Pragną poznać kraj, który pomimo bliskiego położenia wciąż dla wielu Polaków jest egzotyczny.

www.kampermaniak.pl



8. FESTIWAL PRZYGODY

WANOGA

- POKAZY • RAJDY • FILMY
- WARSZTATY • KONKURSY

Wejherowo, 4–6 października 2019
 Filharmonia Kaszubska, Wejherowskie Centrum Kultury
 ul. Sobieskiego 255

WANOGA W WEJHEROWIE

Polski Klub Przygody oraz Wejherowskie Centrum Kultury organizują w dniach 4–6 października br. 8. Festiwal Przygody Wanoga w Wejherowie. Głównym celem imprezy będzie propagowanie kreatywnych form podróżowania i eksploracji. Nie zabraknie slajdów, filmów, opowieści i relacji, które wypełnią sale Filharmonii Kaszubskiej. Wśród gości festiwalu znajdują się wybitni himalaiści, odkrywcy, dziennikarze, reporterzy i fotografowie. Ludzie, których opowieści, slajdy i filmy mówią nie tylko o dalekich krainach, ale i o sile ducha, woli walki, chęci odkrywania i zdobywania. Nazwa imprezy – Wanoga – nawiązuje do kaszubskiego słowa oznaczającego wycieczkę, podróż lub wędrówkę. Dlatego też na gości festiwalu będzie czekać wiele atrakcji w plenerze, pozwalających poznać piękno tego regionu. Organizatorzy imprezy przewidzieli w programie m.in. spływ kajakowy rzeką Redą, rajd na orientację czy warsztaty survivalowe.

www.wanoga.pl

O PRZYRODZIE W BIAŁOWIEŻY

VI Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Turystyka na obszarach przyrodniczo cennych” (17–18 października) to przedsięwzięcie Zamiejscowego Wydziału Leśnego Politechniki Białostockiej w Hajnówce i Instytutu Kronenberga – Fundacji Przyszłości Obszarów Chronionych. Konferencja jest jedynym w Polsce cyklicznym spotkaniem naukowców, specjalistów z zakresu ochrony dziedzictwa przyrodniczego i kulturowego, leśników, planistów przestrzennych, przedsiębiorców, samorządowców, przedstawicieli korpusu dyplomatycznego, umożliwiającym interdyscyplinarny dialog na temat rozwoju gospodarczego kraju, planowania zintegrowanego z problematyką gospodarowania obszarami przyrodniczo cennymi.

www.tnopc.pb.edu.pl

**VI MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA
TURYSTYKA NA OBSZARACH PRZYRODNICZO CENNYCH**

2019 - Zrównoważony rozwój w ochronie środowiska naturalnego

TYSIĄC NIESPOKOJNYCH WYSP



Jak wygląda życie ludzi na niemal rzeczywistym końcu świata, gdzie nieokiełznana przyroda wciąż szykuje nowe wyzwania? Jak sobie radzą z ciągłym poczuciem zagrożenia katastrofami oraz brakiem zainteresowania i pomocy ze strony rządu? Jak na nich wpływa dominujące na chilijskim południu poczucie graniczności i odosobnienia? Reportaż „Chile południowe. Tysiąc niespokojnych wysp” Magdaleny Bartczak to próba odpowiedzi na te pytania.

Południe kraju, pełne wulkanów, lodowców, fiordów i licznych archipelagów, stanowi kwintesencję chilijskiego odosobnienia i introwertycznego charakteru jego mieszkańców. Chilijczycy określają swoją ojczyznę czule, Chile lindo, ale też Chile horroroso. I właśnie takie są ich historie: czasem piękne, czasem potworne. Autorka stara się przedstawić złożoność kraju i – co ciekawe – odkrywa wiele podobieństw do Polski, jak choćby problem nierozliczenia z historią i przemilczanej przeszłości. Wydawnictwo MUZA SA.

HULAJNOGĄ PRZEZ SMOCZĄ WYSPĘ

Dominik Wieczorkiewicz wraz ze swoją żółtą hulajnogą znowu w podróży. Tym razem za cel obrał Smoczą Wyspę. Sokotra to czarowne miejsce na Oceanie Indyjskim. Odwiedzenie jej od dawna było niespełnionym marzeniem podróżnika, ale konflikty wojenne w tym rejonie świata blokowały realizację planów. Kiedy więc tylko pojawiła się szansa dotarcia na tę jemeńską wyspę, Dominik bez wahania spakował plecak, zabrał hulajnogę oraz maskotkę misia i znów wyruszył w świat. Zagubione bagaże, piraci, spotkanie z lampartami – to tylko kropla w morzu przygód, z którymi mierzył się podczas wyprawy. Wydawnictwo Skrzat 2019.



RODZINA NOMADÓW. WYPRAWA 5 MÓRZ



Ta książka to opowieść o wyprawie trzyosobowej rodziny cyfrowych nomadów. W 100 dni przejechali 11 tys. km, odwiedzili 12 krajów i nurkowali w pięciu morzach. W tej książce zabiorą czytelników do dzikiej delty Dunaju, do wiedeńskich winnic, na konkurs rzutu kaloszem oraz w wiele innych, niesamowitych miejsc. Pod pretekstem tych historii nomadzi w zabawny, inspirujący sposób podpowiadają, jak budżetowo zorganizować podróż z dzieckiem oraz jak wygląda zdalna praca i wychowanie dziecka poza domem. Wydawnictwa Supertramp oraz SQN.

HISTORIA ZAKŁĘTA W MURALACH

Mikołaj Szoszkiewicz



FOT. MIKOŁAJ SZOSZKIEWICZ

Mural to wielkoformatowe malowidło ściennie. Choć jest to popularna forma street artu na całym świecie, w pewnych miejscach występuje ze szczególnym nagromadzeniem. Jednym z nich jest Irlandia Północna. Murale stały się tam niezwykłym świadectwem trwającego przez kilkadziesiąt lat konfliktu.

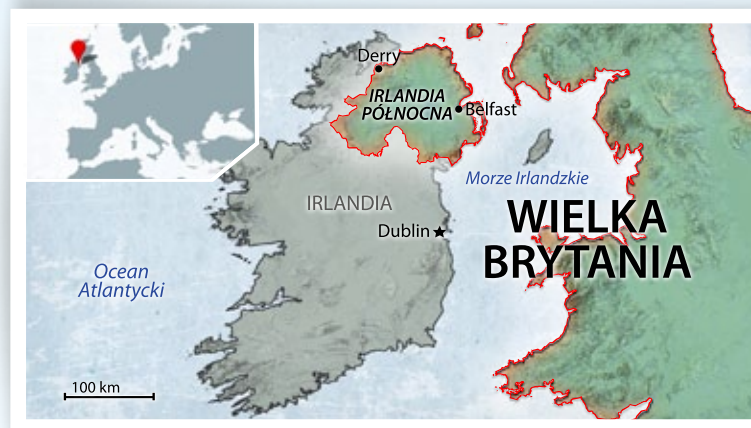
Wokół dublińczyka w średnim wieku zgromadziło się kilkanaście osób. Brodaty mężczyzna był przewodnikiem i prowadził wycieczkę.

– Zaczniemy w samym centrum Dublina, na O’Connell Street. Nazwa ulicy pochodzi od Daniela O’Connella. Walczył on o równe prawa dla katolików w Irlandii w XIX w.

– Katolicy byli dyskryminowani? – wtrąciła słuchająca z uwagą Tajka. – Czy Irlandia nie jest krajem katolickim?

– Obecnie Republika Irlandii jest krajem katolickim, ale w XIX w. była częścią Wielkiej Brytanii. W Koronie Brytyjskiej zdecydowaną większość stanowią protestanci i rząd w Londynie ograniczał prawa katolików. A w Irlandii żyli zarówno katolicy, jak i protestanci.

Przeszliśmy pod budynek o potężnej konstrukcji.



– Przed nami budynek poczty. To tutaj w poniedziałek wielkanocny 1916 r. rozpoczęło się powstanie przeciwko brytyjskiemu panowaniu. Na O’Connell Street możecie zobaczyć dużo budowli w podobnym stylu. To symbole dawnej władzy brytyjskiej. Ich wielkość miała Irlandczykom przypominać o potęgze Imperium Brytyjskiego.

– Dlaczego to właśnie powstanie wielkanocne okazało się przelomowe? – spytał inny z słuchaczy.

– W naszej historii powstania były bardzo częste, a to okazało się całkowitą katastrofą. Podobnie jak wiele poprzednich buntów, zostało krwawo stłumione. Tysiące ludzi trafiło do więzień, wielu zginęło. Dublin został bardzo zniszczony. Tak agresywna odpowiedź Brytyjczyków spowodowała, że Irlandczycy się zbuntowali i upadające powstanie stało się zalążkiem wojny niepodległości.

NIESZCZĘŚLIWE WAKACJE

Mural upamiętniający sierpień 1969 r., kiedy w Belfaście wiele domów zostało zniszczonych podczas gwałtownych zamieszek.





NIGDY WIĘCEJ!

Pacyfistyczny mural na ulicy Newtownards, w lojalistycznej części miasta.

Patrzyłem na irlandzką flagę, która powiewała zatknięta na szczycie budynku. Myślałem o tym, ile ludzi zginęło, żeby mogła powiewać w centrum Dublina. Po brutalnym stłumieniu powstania wielkanocnego radykalne ruchy niepodległościowe w Irlandii zdobyły bardzo duże poparcie. Powstała paramilitarna organizacja, Irlandzka Armia Republikańska (IRA), i rozpoczęła się wojna o niepodległość Irlandii.

Po kilku latach wydawało się, że Irlandia w końcu zazna pokoju. Kiedy liderzy ruchów niepodległościowych udali się na spotkanie z Lloydem Georgem, premierem Wielkiej Brytanii, celem negocjacji była niepodległość. George zaproponował jednak inne rozwiązanie. Zgodził się na utworzenie niepodległej Republiki Irlandzkiej, ale tylko pod warunkiem, że sześć północnych prowincji pozostanie częścią Wielkiej Brytanii. Dał równocześnie przywódcom wybór – albo zaakceptują jego ofertę, albo „zmierzą się z natychmiastową i straszliwą wojną”. Z uwagi na wykończenie armii i bojówek IRA irlandzcy przywódcy przyjęli kompromis. Był to przełomowy moment dla irlandzkiej historii.

Na wyspie powstała bowiem granica i dwa kraje – niepodległa Republika Irlandii oraz Irlandia Północna, będąca częścią Korony Brytyjskiej. W Irlandii Północnej pozostały dwie grupy obywateli: katolicy niepodległościowcy (nazywani też republikanami, gdyż dążyli do przyłączenia się do Republiki Irlandii) oraz protestanci – lojalni wobec Imperium Wielkiej Brytanii (potocznie nazywani lojalistami). Był to bardzo żyzny grunt pod konflikt, który wybuchł z całą mocą pięćdziesiąt lat później.

THE TROUBLES

Z jednej stolicy udaliśmy się do drugiej – Belfastu. Tu dochodziło do największych walk podczas konfliktu w Irlandii Północnej. Obecnie są dzielnice, w których nie ma podziałów na republikanów i lojalistów (głównie bogatsze okolice), ale w wielu miejscach na pytanie o poglądy polityczne jest tylko jedna prawidłowa odpowiedź. Zachodni Belfast należy do punktów zapalnych, gdzie w przeszłości dochodziło do największych starć. Wszędzie tam, gdzie trwał konflikt, powstawały murale.

Dla obu stron jest to forma wyrażenia poglądów i upamiętnienia poległych, z kolei dla turystów – poznanie irlandzkiej historii.

W 1960 r. dyskryminacja katolików trwała nadal w sześciu północnych prowincjach. Objawiało się to na wielu płaszczyznach. Katolicy mieli problem z otrzymaniem pracy w publicznych placówkach. Prawo wyborcze aż do lat 60. było zarezerwowane dla posiadaczy domów. Równocześnie katolicy mieli problem z nabywaniem własności prywatnej. Zabiegi lojalistycznego rządu doprowadziły do tego, że większość praw wyborczych mieli protestanci, mimo że większość mieszkańców Irlandii Północnej stanowili katolicy. W obliczu tego republikanie organizowali pokojowe protesty, żeby zmanifestować swoje niezadowolenie. W 1969 r. wszystko przybrało bardziej gwałtowny obrót i rozpoczęły się The Troubles – jak Irlandczycy zwykli nazywać dramatyczny okres w ich historii.

Po Belfaście oprowadzał nas Dave. Był pięćdziesięciolatkiem ubranym w czarny, przetarty T-shirt z logiem Guinnessa – najpopularniejszego piwa w obu Irlandiach. Uśmiechał się bardzo dużo, nie zwracając uwagi na to, że przy każdym uśmiechu odsłaniał wybrakowane i zaniedbane zęby. – *Murale nie są tutaj atrakcją turystyczną. Zaczęto je malować już podczas konfliktu. Były i są dla społeczności republikanów i lojalistów niezwykle ważne* – mówił szybko, jak na Irlandczyka przystało, jednak przez brak jedynek dodatkowo niewyraźnie.

– *Ten mural na przykład przedstawia Bombay Street, ulicę, na której teraz jesteśmy. W 1969 r. wybuchły tutaj krwawe rozruchy. W rogu jest zdjęcie jednej z pierwszych ofiar konfliktu. 15-letni chłopiec został zastrzelony podczas zamieszek.*

Za symboliczną datę początku The Troubles przyjmuje się sierpień 1969 r. Wtedy rosnące od dawna napięcie znalazło ujście w regularnych walkach. W połowie sierpnia w Derry (drugim po Belfaście największym mieście w Irlandii) doszło do dwudniowych zamieszek, podczas których policja musiała użyć gazu łzawiącego przeciwko irlandzkim nacjonalistom. Wydarzenia w Derry doprowadziły do zaangażowania brytyjskiego wojska, które przywróciło tymczasowy spokój

w mieście. Jednak konflikt w Derry zapoczątkował starcia w innych częściach Irlandii Północnej, również w zachodnim Belfaście. Na Bombay Street spłonęły wtedy niemal wszystkie domy.

Bombay Street znajdowała się zaraz obok Peace Line (Muru Pokoju), wybudowanego w 1969 r. Oddzielał on dwie dzielnice: katolicką i lojalistyczną. Bramy je łączące nadal były zamykane na noc. Budynki na Bombay Street znajdowały się zaraz przy Murze. Od strony Peace Line domki miały przybudówki w postaci metalowych kratki.

– *To ochrona przed przerzucanymi z drugiej strony muru bombami domowej roboty* – wyjaśnił Dave.

Ceglane domy stały w równych rzędach. Na ulicach panował zwyczajny popołudniowy zgiełk, ludzie spieszyli się z pracy do domów.

– *Jesteśmy teraz na Falls Road, w samym centrum katolickiej dzielnicy, gdzie dochodziło do wielu zamachów* – odezwał się przewodnik. – *Zobaczcie, ile murali was otacza. Ten tutaj na przykład jest upamiętnieniem Bobby'ego Sandsa. Był działaczem IRA i zmarł w więzieniu. Podjął protest głodowy, w którym domagał się, żeby*

PAMIĘCI FINNA

Mural przypominający o tragicznych wydarzeniach z 1969 r. Po prawej stronie zdjęcie piętnastoletniego Finna Geralda McAuleya, jednej z pierwszych ofiar konfliktu.



traktowano go jak więźnia politycznego, a nie zwykłego kryminalistę. Umarł z głodu, nie osiągnąwszy swojego celu. Teraz jest żywą legendą wśród republikanów.

Oglądaliśmy w milczeniu portret uśmiechniętego młodego mężczyzny. Jeszcze jednej ofiary bratobójczej wojny.

– *Zbierajcie się – odezwał się Dave. – Pojździemy teraz do protestanckiej dzielnicy, na drugą stronę Muru Pokoju.*

Na Shankill Road, głównej ulicy w dzielnicy protestanckiej, podeszliśmy do miejsca upamiętnienia zmarłych podczas The Troubles lojalistów. Plakaty ukazywały dziesiątki zdjęć zamordowanych przez nacjonalistów ludzi. Zdecydowana większość z nich była cywilami. Wychwalani w katolickiej dzielnicy członkowie IRA zaledwie kilkaset metrów dalej byli przedstawiani jak mordercy. Jeden z plakatów był szczególnie wstrząsający – widniało na nim zdjęcie z zamachu terrorystycznego w Paryżu zorganizowanego przez ISIS w 2016 r. Pod nim zaś widniał napis „IRA=ISIS”. Kolejne zdjęcia przedstawiały ataki terrorystyczne przeprowadzone przez IRA, a wszędzie wokół widniały fotografie niewinnych ofiar.

Wydarzenia 1969 r. – gwałtowne zamieszki, starcia z policją i wreszcie zaangażowanie w konflikt brytyjskiego wojska – wstrząsnęły Zieloną Wyspą. W Irlandii Północnej obie

GŁÓD SPRAWIEDLIWOŚCI

Bobby Sands jest dla republikanów ikoną. Jego strajk głodowy przeciwko niesprawliwemu wyrokowi był tak rygorystyczny, że doprowadził go do śmierci.

MUREM PODZIELONE

Po drugiej stronie Muru było niemalże tak samo. Domki wyglądały identycznie, murale wyłaniały się co kilkadziesiąt metrów. Była jedna różnica. W katolickiej dzielnicy nad wieloma domami powiewały flagi Republiki Irlandii, a teraz dookoła mnie łopotały flagi Wielkiej Brytanii.





ULSTERSKIE SIŁY OCHOTNICZE

UVF – Ulster Volunteer Force, to jedna z radykalnych paramilitarnych organizacji północnoirlandzkich protestantów.

strony sięgnęły po bardzo radykalne środki. IRA ogłosiła, że jeszcze mocniej zaangażuje się w obronę katolików. „Obrona” przerodziła się w zamachy, których ofiarami byli przede wszystkim przypadkowi ludzie. Wybuchające bomby i samochody pułapki stały się przerażającą codziennością w protestanckich dzielnicach. Po drugiej stronie powstały lojalistyczne grupy paramilitarne jak UVF (Ulsterskie Siły Ochotnicze). Organizowały one zamachy przeciwko katolikom z taką samą skutecznością jak IRA.

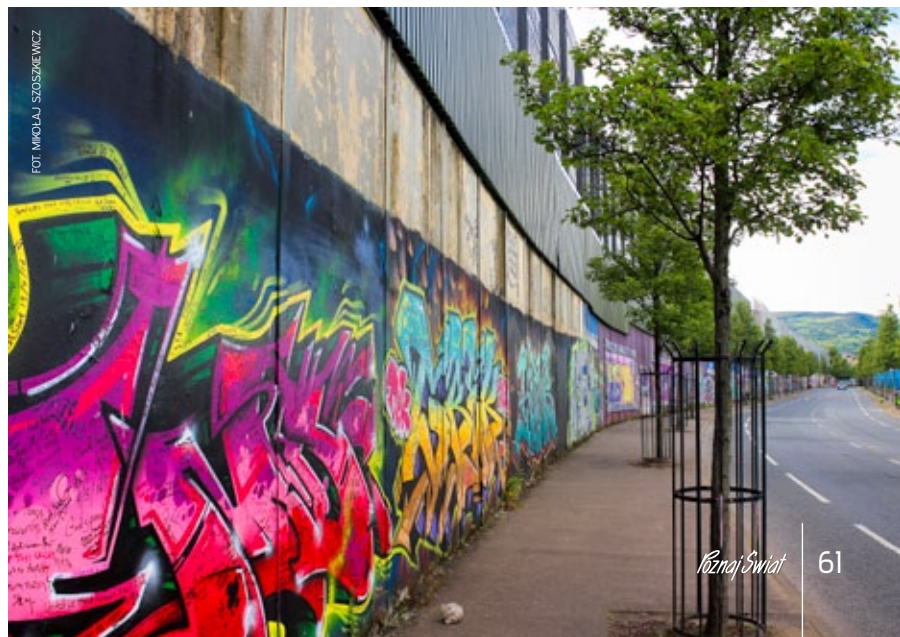
Najmroczniejszą sceną, którą zapamiętałem z zachodniego Belfastu, były spokojne domy w dzielnicy lojalistów przy Shankill Road. Na trawniku przed rzędem budynków stał dziecięcy samochodzik. Oglądaliśmy mural pokrywający całą ścianę. Przedstawiał młodego człowieka na błękitnym tle. Nad zdjęciem widniał napis: „pamiętamy z dumą”. Data śmierci wskazywała na to, że chłopak zginął w wieku trzydziestu lat.

– Steve McKeag... Tak, to bardzo kontrowersyjna postać. To był jeden z najradykalniejszych bojowników. Walczył po stronie lojalistów i ma na swoim koncie minimum 12 morderstw.

Wyszukałem na smartfonie historię McKeaga. Otrzymał przydomek Top Gun ze względu na swoją bezwzględność. Zabójstw dokonywał na katolikach, a ofiarami byli często zwykli cywile. Zanim dołączył do lojalistycznych bojówek, miał bardzo burzliwą młodość. Zafascynowanie skinheadami, a później chrześcijańskie nawrócenie i ślub. Małżeństwo rozpadło się jednak niedługo potem, towarzyszyło temu porzucenie chrześcijaństwa. Steve

MUR POKOJU

Konstrukcje oddzielające dzielnice republikanów i lojalistów można znaleźć w całej Irlandii Północnej. Najwięcej występuje w Belfaście – tu w zachodniej dzielnicy.



McKeag wydaje się pogubionym młodym człowiekiem pragnącym sensu życia, który przychodzi wraz z dołączeniem do paramilitarnych bojówek. Bezkompromisowe zaangażowanie się w The Troubles doprowadziło do strasznych morderstw i nie uszczęśliwiło McKeaga. Zginął samotnie we własnym domu z powodu przedawkowania narkotyków.

Stojąc na Shankill Road i patrząc na spokojne osiedle, nie dowierzałem, że mieszkańcy mogli utrzymywać mural człowieka odpowiedzialnego za seryjne morderstwa. Dzieci, które bawiły się co dzień na trawniku przed blokiem, nie przeczuwały, kim jest pan ze zdjęcia otoczony niebiańskim błękitem. Po wielu dniach podróży po Irlandii Północnej zrozumiałem, że nic nie jest tutaj czarno-białe, a obie walczące strony wpisały wiele wydarzeń do mrocznych kart historii własnego kraju.

Doprowadziły one ostatecznie do zdemilitaryzowania IRA i lojalistycznych bojówek. Dzisiaj Irlandia Północna to kraj, w którym społeczeństwo jest nadal podzielone, jednak powoli, krok po kroku, republikanie i lojaliści zaczynają się nawzajem szanować.

Siedzieliśmy z Rickiem przy herbatce z mlekiem. Rick jest pięćdziesięcioletnim nauczycielem z Belfastu. Znajdowaliśmy się na wyspie Rathlin, leżącej u wybrzeży Północnej Irlandii. Miejsce jak z bajki, z majestatycznymi klifami schodzącymi nad samo morze i pięknymi wrzosowiskami. Sto pięćdziesiąt osób zamieszkujących wyspę okazało się jedną z najbardziej gościnnych społeczności, jakie poznałem. Wydawało się, że tak serdeczni ludzie nie mogą mieć nic wspólnego ze wstrząsającym konfliktem. A jednak z Rickiem rozmawialiśmy właśnie o skutkach The Troubles.

– *Dostrzegasz na co dzień podziały między ludźmi? Czy osoby z republikańskich i lojalistycznych dzielnic kontaktują się ze sobą?* – spytałem.

– *Hmm, jest na pewno coraz lepiej. Niektóre dzielnice, zwłaszcza te bogatsze, żyją tak, jakby konflikt był już jedynie przeszłością. Ale*

TOP GUN

Taki przydomek otrzymał Stevie McKeag ze względu na brutalność i bezwzględność. Zabójstw dokonywał na katolikach, a ofiarami byli często zwykli cywile.

TRUDNE PRZEBACZENIE

The Troubles trwały aż do podpisania porozumienia wielkopiątkowego w 1998 r. przez główne siły polityczne w Północnej Irlandii.



FOT. MIKOŁAJ SZOŚKIEWICZ



FOT. MIKOŁAJ SZOSZKIEWICZ

w zachodnim Belfaście nadal jest wzajemna wrogość – mówił zasmucony. – W niektórych osiedlach możesz dostrzec flagi z trupimi czaszkami. Znaczą one „nie chcemy obcych”.

– A jak dogaduje się młode pokolenie?

– Na pewno lepiej. To jest nasza nadzieja na przyszłość. Niestety, większość szkół jest nadal osobna dla katolików i protestantów. Młodzi ludzie nie mogą przez to poznać tej drugiej strony i zobaczyć, że są to tak samo sympatyczni nastolatki. Chociaż działa już coraz więcej szkół dla wszystkich. To dobry kierunek.

– Jak to możliwe, że społeczeństwo jest tutaj nadal tak mocno podzielone? – spytałem naiwnie. – Przecież konflikt oficjalnie zakończył się już ponad dwadzieścia lat temu.

– To jest trudniejsze, niż się wydaje. Wielu ludzi potraciło w tym czasie rodziny, wielu ojców osierociło dzieci. I tych morderstw nie dokonała obca armia z daleka, tylko sąsiedzi mieszkający kilka ulic dalej. Spróbuj wczuć się w sytuację tych

ludzi. Przebaczenie w tym wypadku jest bardzo, bardzo trudne.

Pisząc ten tekst, nadal próbuję zrozumieć walczące strony i im głębiej sięgam do historii The Troubles, tym lepiej rozumiem, jak trudne jest dla Irlandczyków uwolnienie się od skutków konfliktu. Spędziłem ponad miesiąc w Irlandii Północnej i wiele osób mówiło mi o tym, że dzieje się w ich kraju coraz lepiej. Jednak podkreślali ze smutkiem, że niektórych krzywd nie da się zapomnieć. Najbardziej dające do myślenia zdanie, które słyszałem od kilku osób, brzmiało: „Prawdziwa jedność między nami będzie, kiedy wymrze pokolenie, które pamięta The Troubles”. Myślę, że ludzie powinni wziąć sobie to zdanie do serca, żeby nie dali się wciągnąć w spory. Żeby nigdy nie musieli powiedzieć, że jedność w narodzie będzie dopiero wtedy, kiedy wymrze pokolenie, które zadało sobie nawzajem nieodwracalne rany. ○

ODERWANI

Wyspę Rathlin zamieszkują tysiące ptaków morskich i zaledwie 150 osób. Byli to najbardziej serdeczni ludzie, jakich autor spotkał w Irlandii Północnej.



Mikołaj Szoszkiewicz

Zafascynowany przyrodą (zwłaszcza obserwacją ptaków) i podróżami. Jego ukochaną formą wędrówek jest wolontariat przyrodniczy w rezerwach i ostojach ptaków. Autor bloga ptasiepodroze.eu.



WĘZEŁEK NA DROGĘ

W dniu, w którym piszę te słowa, mija dokładnie 9 miesięcy od mojej przeprowadzki na inny kontynent. Pamiętam ten ciemny listopadowy dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam nasze nowe, puste mieszkanie.

Kroki członków gruzińskiej ekipy przeprowadzkowej odbijały się echem od gołych podłóg i ścian, kiedy raz-dwa wnieśli skromny dobytek: parę używanych mebli na start, odkupionych od znajomej, razem

z tosterem, żelazkiem i deską do prasowania. Nasze mienie dodatkowo uszczuplił fakt, że polska firma kurierska zwróciła nam przesyłkę złożoną z kartonów zawierających rzeczy osobiste, niestety już po naszym wylocie z Polski. Z jednej strony w mieszkaniu było więc nieswojo i bezosobowo, z drugiej – ogarnęło mnie przyjemne uczucie otwierania nowego rozdziału. To samo uczucie ma się, stojąc przed świeżo umytą i uporządkowaną lodówką. Znużenie i obrzydzenie znikają, pojawia się za to satysfakcja i poczucie ładu, a także składane sobie w duchu obietnice, że tak już będzie zawsze. Że już nigdy na pachnących, wyszorowanych półkach nie znajdą się żadne nieprzebrane produkty, że już nigdy nic nie zwiędnie, nie sfermentuje i się nie przeterminuje, budząc wyrzuty sumienia pomieszane z odruchem wymiotnym. Odtąd będziemy gospodarni, oszczędni i przejmemy pełną kontrolę nad własną dietą i domowym budżetem, co niechybnie przełoży się na harmonię we wszystkich innych aspektach życia.

Te same obietnice składałam sobie, stojąc u progu nowego mieszkania. Który to już raz? Licząc z akademikami i wynajmowanymi pokojami, przeprowadzek zaliczyłam kilkanaście. Za każdym razem, gdy wieszałam w szafach nieliczne wieszaki i stawiałam na półkach pojedyncze książki, obiecywałam sobie, że tym razem nie zagracę i zostawię sobie przestrzeń. Nigdy nie dotrzymywałam słowa. Jako studentka zrzucałam winę na ograniczony metraż; w końcu jeden pokój, czasem dzielony ze współlokatorką, miał mi być sypialnią, garderobą, pracownią i salonem, w którym podejmowałam gości. Nic dziwnego, że szybko zaczynało brakować miejsca i łatwo powstawał bałagan. Ale w równie krótkim czasie zappełniłam rzeczami pierwsze własne mieszkanie, a kolejne, większe – jeszcze szybciej. Przedmioty były jak drożdże – wypełniały w całości tyle przestrzeni, ile akurat miałam. Udałam, że tego nie widzę, i obchodziłam problem jak zamkniętą lodówkę. W końcu większość życia i tak spędzałam poza domem – w pracy, na

wakacjach, na spotkaniach ze znajomymi. Dopiero kiedy niemowlę przywiązało mnie do czterech ścian, zrozumiałam, ile miejsca w moim życiu zajmują przedmioty. Nie tylko w sensie fizycznym, ale też ile czasu i energii pochłania ich obsługa – porządkowanie, pranie, odkurzanie czy naprawianie.

Starałam się wprowadzić ograniczenia i zaczęłam coraz śmielej oddawać, sprzedawać albo wyrzucać. Ale postępy były powolne, a świeżo opróżnione półki stanowiły nieodpartą pokusę. Tak pięknie mógł się na nich prezentować nowy wazon, ramka na zdjęcia, pastelowa świeczka... Wpadłam w błędne koło. Przeprowadzka na drugi koniec świata stanowiła szansę, by położyć temu kres. Radykalne cięcie, dzięki któremu wszystko można zacząć od zera. Tym razem, nauczona doświadczeniem, postanowiłam jednak rozegrać sprawę nieco inaczej. Zdecydowałam, że nie będę kupować półek ani szuflad, które mogłabym zapełnić.

Zamiast listy niezbędnych w nowym M przedmiotów stworzyłam rosnącą listę rzeczy, bez których mogę się obejść. W naszym obecnym mieszkaniu jeszcze do niedawna nie było miski do ręcznego prania ani szklanek czy kieliszków (wystarczy kubki). Nie ma nadal: suszarki do ubrań (podobną funkcję pełnią meble i drzwi), szczotki i szufelki (jest odkurzacz), solniczki ani pieprzniczki (wystarczy fabryczne opakowania), ekspresu do kawy (dzięki temu częściej odwiedzam kawiarnie). Nie mam dywanów, firan i zasłonek, lusterka do makijażu, miksera, narzuty na łóżko, brytfanny ani łyżki wazowej (choć regularnie gotuję zupy). I nie planuję mieć, czym wprawiam w konsternację gości, którzy zatrzymują się u nas na nocleg. Ostatnio codziennie musiałam z uśmiechem odpowiadać: „Nie, niestety akurat tego nie posiadam, jeszcze się urządzamy”. Ale kłamałam. Bo już się urządziliśmy i to lepiej niż kiedykolwiek.

Nadal mięwam pokusy, i to silne, bo opowiadałam wam już wcześniej, że w Nowym Jorku wszystko można znaleźć na ulicy – od mebli, przez zabawki i dekoracje, po ubrania, książki i akcesoria kuchenne. Ale zaciskam zęby, mijam te trofea i idę dalej. Odpuściłam nawet piękny drewniany bujany fotel, jakby wyjęty z werandy na prawdziwym rancho. Wolę nasz pustostan, bo sprząta się go w kwadrans, a potem można się zając

przyjemniejszymi rzeczami. Wystarczy mi parę naczyń, wtedy nie mają możliwości piętzyć się w zlew. Dywany nie przyjmują plam ani się nie mechacą, kiedy nie istnieją. A kurz nie bardzo ma na czym siadać.

Podobną zasadę przyjął w pakowaniu. Wcześniej z podróży często zdarzało mi się przywozić czyste, niewłożone nawet raz ubrania. Za to dłoń biała pod ciężarem takiego bagażu. Teraz wolę zmoknąć albo wystąpić z plamą, niż taszczyć odzienie na każdą ewentualność. Zamiast walizy wybieram węzełek na drogę. Ta filozofia przekłada się też na związki międzyludzkie. Odległość, która miała sprawić ból, w większości przypadków

oczyściła atmosferę. Relacje, które zniknęły z pola widzenia, okazały się nie takie znów niezbędne, a brak niektórych na dłuższą metę spowodował ulgę. Kiedyś przeprowadzimy się z powrotem. Ale nie zamierzam przywozić pamięątek z okresu mieszkania za granicą. Przywiozę tylko lekkość bytu. ☺

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A



Wiesława Izabela Rudź

ZAPACH PIECZONEJ BARANINY



FOT. WIESŁAWA GABEŁA RUDZ

Najważniejsza w Urugwaju jest kultura spożywania mięsa. Jego pieczenie to jedna z największych pasji Urugwajczyków. Tutejsza wołowina nie ma sobie równej. Warto też poznać tradycję przyrządzania baraniny. Ogromne zielone tereny tego kraju są przeznaczone do wypasania krów i baranów.

O Urugwaju mówi się, że to prawdopodobnie najdroższy kraj w Ameryce Południowej. Większość jego mieszkańców radzi sobie jednak w ten sposób, że minimalizuje konsumpcję, zwłaszcza w zakresie tekstyliów i wyposażenia domowego. Tutaj tego, co jeszcze służy lub można naprawić, nikt nie wyrzuca, ale używa, nawet jeśli jest podniszczone czy przybrudzone.

Urugwajczycy żyją bardzo spokojnie i bezpiecznie (poza niektórymi dzielnicami stolicy). Generalnie to państwo jest jednym z najbezpieczniejszych krajów Ameryki Łacińskiej, przynajmniej według wskaźników Globalnego Indeksu Pokoju. Mówi się też, że miejscowi „mają czas mieć czas”.

BĘBNY, PIŁKA I MATE

Urugwaj ma wiele swoich symboli. Po pierwsze – *candombe*, czyli muzykę na bębnach zwanych *tambores*, która powstała w Montevideo i została wykreowana przez Afrourugwajczyków. Na ulicach stolicy można często usłyszeć charakterystyczne bębnienie, którego nie sposób pomylić z niczym innym. Miało ono wpływ na powstanie tanga, będącego kolejnym narodowym dobrem Urugwajczyków. Co prawda do dziś trwa wielki spór z sąsiadami, czy ojciec tanga, Carlos Gardel, był Urugwajczykiem czy Argentyńczykiem, ale niewątpliwie to w Montevideo odbywają się najważniejsze turnieje tego tańca.



FOT. WESŁAWA IZABELA RUDZ



FOT. WIESŁAWA ZABEŁA, RUDZ

ZAGUSTOWAŁY W RYBCE

W Punta del Este lwy morskie, dokarmiane przez rybaków, wzbudzają duże zainteresowanie zwiedzających miasteczko.



DIABLO PIĘKNIE

Punta del Diablo to niezwykle urokliwy kurort, w sezonie pełen turystów. Mieszkańcy utrzymują się z nich oraz z rybołówstwa.



FOT. WIESŁAWA IZABELA RUDZ

RELIKT MALOWNICZY

W La Paloma jest wiele latarni. Dziś służą już tylko urozmaiceniu nadmorskich krajobrazów.

Po drugie – futbol. Znakomita większość, głównie męskiej części społeczeństwa, to miłośnicy piłki nożnej. Podczas meczów, zwłaszcza kadry narodowej, nie znajdziesz

mężczyzny na ulicach – wszyscy siedzą przed telewizorami lub w restauracjach, które organizują zbiorowe oglądanie. Czasami ma się wrażenie, że futbol to rodzaj tutejszej religii.

Po trzecie – mate. Urugwaj jest procentowo największym na świecie konsumentem yerba mate. W przeciwieństwie do innych krajów Ameryki Południowej pije się ją w dowolnym miejscu i czasie. Okazja do spożywania tego naparu to głównie spotkania z przyjaciółmi i rodziną lub spacer na świeżym powietrzu. Mate jednoczy – w Urugwaju konsumują ją członkowie wszystkich klas społecznych.

Nieźródnane jest tu także *dulche de leche*. Ten słodki aż do rozkoszy podniebienia karmel, z niesamowicie aksamitnego mleka urugwajskich krów, pozwala miłośnikom słodkości poczuć się jak w kulinarnym raj.



FOT. WIESŁAWA IZABELA RUDZ

CABO POLONIO

Ponad połowa trzymilionowej ludności tego kraju mieszka w stolicy i jej najbliższych



okolicach. Klimat jest tu umiarkowany, a ostatnie opady śniegu zanotowano w latach 60. To w dużej mierze kraj rolniczy. Na polach stoją w słońcu słoneczniki, kukurydza, ryż i zboża, spotkać też można ogromne plantacje winorośli. Urugwajski tannat jest jednym z najsłynniejszych i najbardziej docenianych win na świecie, ze wspaniałą właściwością koloru i struktury, które nadają mu wartość enologiczną. Tannat to wina taninowe, miękkie i delikatne, o atrakcyjnym kolorze.

Nie byłoby pięknego Urugwaju bez malowniczych plaż departamentu La Rocha, które ciągną się wzdłuż Oceanu Atlantyckiego przez 180 km złocistego, sypanego piasku. To niezwykle urokliwe miejsca, takie jak: La Paloma, Punto del Diablo, La Pedrera czy Cabo Polonio. Ta ostatnia miejscowość jest perełką Urugwaju. Morze, wiatr i wydmy! Urzekające miejsce dzięki niezrównanemu bogactwu przyrodniczemu, gdzie można m.in. obserwować lwy morskie.

Dziedzictwo historyczne tej miejscowości, z latarnią morską jako symbolem, czyni ją wyjątkową. Z Cabo Polonio wiąże się kilka ciekawych historii. Jedną z nich, dotyczącą nazwy tego miejsca, mówi, że w 1753 r. hiszpański żaglowiec uderzył w rafę, znaną obecnie jako Polonio Bass. Deszczowa i wietrzna pogoda, no i morze, zrobiły swoje. Kapitan statku nazywał się Joseph Pollony, po kastylijsku Polonio...

Stała populacja jest tutaj niewielka i składa się głównie z rybaków, rzemieślników i personelu latarni morskiej. W sezonie turystycznym (styczeń – marzec) miejscina otwiera kilka restauracji, zajazdów i domów do wynajęcia. Domy nie mają prądu, z wyjątkiem miejsc z własnym generatorem oraz latarni morskiej. Brak oświetlenia zachęca do obserwacji pięknego rozgwieżdżonego nieba.

Do Cabo Polonio można dotrzeć tylko w zorganizowanej wycieczce samochodem 4x4 lub pieszo z odległej o 8 km miejscowości Valizas.

VAMOS A LA PLAYA

Latem plaża Las Rocas cieszy się powodzeniem nie tylko wśród mieszkańców Urugwaju, ale też Brazylii czy Argentyny.



ŚWIĘTOWANIE PRZY BARANIE

Fiesta pieczenia baranów odbywa się w przedostatni weekend listopada w Sarandí del Yí.

TEKSTURA, SMAK I ZAPACH...

Najważniejszy w Urugwaju jest obyczaj spożywania mięsa. Trafić na festę pieczenia baranów nie jest trudno. Wystarczy w listopadzie przyjechać do Sarandí del Yí, jednego z niewielkich miasteczek w samym środku interioru. W przedostatni weekend przedostatniego miesiąca roku zjeżdżają tu tłumy ludzi. Wszystkich ciekawi, kto wygra tegoroczny konkurs pieczenia.

Impreza rozpoczyna się w sobotni rano. Jest dużo gwaru i radości. Przyjeżdżają całe rodziny, zbierają się przy ogniu, by kultywować tradycję. Zwykle pieczony jest jeden lub dwa barany na grupę. Każda drużyna ma swój sposób przygotowywania mięsa. Ważne jest

jedno: barana nie piecze się na ogniu, lecz na przygotowanym żarze.

Poszczególne ekipy mają swoje drewno, którym rozpalają ogień, produkując żar. Istotne jest, że każdy zespół otrzymuje taką samą ilość drewna. Ogień trzeba umieć rozpalić, a co najważniejsze – zrobić ten żar (nie pieką przecież na węglu drzewnym). Zawodnicy przygotowują go i podkładają pod specjalnie skonstruowany grillowy mostek lub pieką bezpośrednio w żarze ogniska na metalowym uchwycie wbitym w ziemię.

Sposobów na doprawianie mięsa jest wiele: polewanie wodą z przyprawami, nacieranie przed pieczeniem, okładanie witkami ziół, kropienie sokiem z cytryny, wkładanie ziół pomiędzy nacięte mięso. Każda rywalizująca



FOT. WIESŁAWA IZABELA RUDZ

drużyna ma swoją metodę, a tradycje przechodzą z pokolenia na pokolenie.

Podczas konkursu dodatkowe atrakcje zapewniają władze miasta. Na specjalnych rusztach piecze się ponad sto baranów, które goście festy mogą kupić. Dogląda ich ponad piętnastu asadorów – opiekunów procesu grillowania. Po czterech godzinach przekładają oni barany na drugą stronę, co wymaga zresztą sporo krzepy.

Nie może przy tym wszystkim zabraknąć yerba mate. Ten napój w rolniczych rejonach Urugwaju pije się w tradycyjny sposób, czyli bez używania termosów. Niewielkie czajniczki, w różnych kształtach, są ustawiane na małym ogniu, gdzie grzeją się bez przerwy.

Konkurs pieczenia ma swoją kulminację, kiedy komisja rozstrzygająca o jego wyniku próbuje kawałeczki mięs pobranych od „wypieku” każdej z drużyn. Liczy się tekstura, smak i zapach...

Po uroczystym ogłoszeniu wyników, wieczorem, wszystko lekko przycicha. Słychać jedynie dźwięki muzyki dobiegające ze sceny oraz rozmowy zgromadzonych, dla których zawody te są niezwykłym spotkaniem towarzyskim i rodzinnym. Przyjaciele robią sobie setki zdjęć, a później wiele z nich można znaleźć w mediach społecznościowych – wpisz tylko #sarandidesi lub #fiestacorderopesado.

Zapach pieczonej baraniny długo jeszcze unosi się w powietrzu, a ogień dogasa powoli. ○



Wiesława Izabela Rudz

Gdynianka, współautorka książki „Pod niebem Patagonii”. Kocha poznawać świat i ludzi. Obecnie w ponad rocznej podróży po Ameryce Południowej www.ludziepodrozuja.pl



FOT. WIESŁAWA IZABELA RUDZ

STOLIK PRZYJACIÓŁ

Mate pije się wszędzie i o każdej porze. Zaproszenie do jej picia jest oznaką szacunku i przyjaźni.



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Technicznie i... zmysłowo na Gdańskim Szlaku Wodociągowym

Mapa turystyczna Gdańska wzbogaciła się niedawno o nową atrakcję. Gdański Szlak Wodociągowy zaskakuje świetnie podaną wartością dydaktyczną oraz niezapomnianymi wrażeniami, jakie wywiera na zwiedzających niezwykłą architekturą, unikalną atmosferą i myślą techniczną.

Szlak składa się z trzech rozsianych po Gdańsku obiektów, pełniących dawniej (a jeden z nich obecnie) funkcję rezerwuarów wody. Są to: wybudowany na początku XX w. Zbiornik Wody Stary Sobieski w dzielnicy Wrzeszcz, XIX-wieczny Zbiornik Wody Stara Orunia oraz nowoczesny, wieżowy Zbiornik Wody Kazimierz na Wyspie Sobieszewskiej.

Zbiornik Wody Stary Sobieski znajduje się w sąsiedztwie Politechniki Gdańskiej. W odróżnieniu od Kazimierza – wieży ciśnień – jest zbiornikiem terenowym, podziemnym, a jedynym świadectwem jego obecności jest niepozorna brama w zbczu sąsiadującej z uczelnią Szubienicznej Góry. Wybudowany w 1911 r. na planie koła żelbetowy monolit składa się z przestrzeni tworzących podziemny labirynt, zapewniający niesamowite doznania akustyczne. Jego specyficzna budowa pozwala na szeptaną rozmowę na dystansie nawet 200 m! Dla zwiedzających jest udostępniona także całoroczna wystawa poświęcona technice wodociągowej lat minionych „Woda dla pokoleń – historia gdańskich wodociągów” oraz artystyczne instalacje „Limity” i „Żywa Woda”.

Zbiornik Wody Stary Sobieski – żelbetowy gigant wkopany w górę – jest dostępny do zwiedzania przez cały rok. Co z innymi? Ze względu na specyficzny mikroklimat, zbiornik Stara Orunia wybrały na miejsce zimowej hibernacji nietoperze – turyści mogą zwiedzać budowlę dopiero w sezonie letnim. Zbiornik Wody Kazimierz jest zaś czynnym obiektem infrastruktury wodociągowej i jego zwiedzanie również jest ograniczone.

Zwiedzanie Starego Zbiornika Sobieski oraz pozostałych obiektów Gdańskiego Szlaku Wodociągowego odbywa się tylko w towarzystwie przewodnika i jest możliwe po uprzedniej rejestracji na stronie internetowej Gdańskiej Infrastruktury Wodociągowo-Kanalizacyjnej www.giwk.pl.



 54°21'N 18°39'E

Zbiornik Stary Sobieski znajduje się na Górze Szubienicznej. Można dojechać autobusami linii 168 i 199 lub samochodem do ul. Traugutta, skąd trzeba dojść na ul. Sobieskiego, gdzie znajduje się tablica wskazująca drogę.

Nie ma na nich palm, a oblewające je wody nie należą do najcieplejszych. Mają jednak wiele innych atrakcji do zaoferowania. Przedstawiamy najciekawsze wyspy Bałtyku według Wirtualnej Polski.



Gotlandia, Szwecja

Gotlandia to najbardziej słoneczne miejsce w Szwecji i jedna z najbardziej niezwykłych wysp na Bałtyku. Z jednej strony piaszczyste plaże, z drugiej – pingwiny, które raczej nie kojarzą się ze słonecznym wypoczynkiem. Do tego wspaniałe nadmorskie krajobrazy, skaliste klify, wapienne ostańce chroniące wybrzeże wyspy, malownicze osady. Na miłośników przyrody czekają tu pachnące żywicą, iglaste lasy i tajemnicze jaskinie, a wśród nich ta najślawniejsza, licząca cztery kilometry długości Jaskinia Zbójców. Gotlandia, zwana Wyspą Wikingów, to także możliwość odkrywania licznych śladów kultury tych słynnych wojowników.



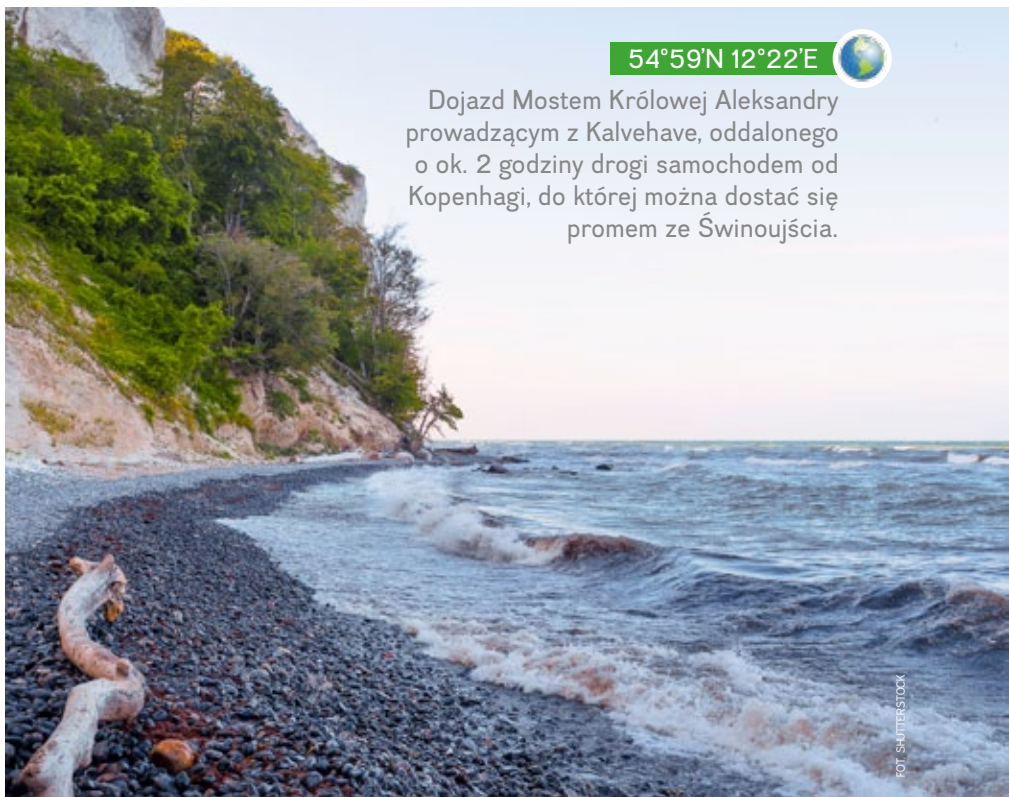
57°28'N 18°29'E

Na wyspę można przyплыnąć promem dzięki połączeniu Gdańsk-Nynashamn, a następnie Nynashamn-Visby.

Møn, Dania

Møn to miejsce, o którego niezwyklej atmosferze zdecydowały przyroda i historia. Ta pierwsza stworzyła niesamowite kredowe, białe klify, które mają nawet 130 m wysokości. Błękit wody, biel wyrastających z niej ścian i intensywna zieleń lasów porastających klify malują surowy, ale piękny krajobraz wyspy i stanowią zapowiedź kryjącej się w jej wnętrzu tajemnicy. Docenią ją przede wszystkim miłośnicy historii, których zachwycą średnio-wieczne zabytki – zwłaszcza kościoły z pięknymi freskami. Najstarsze pochodzą z XIII w.

Ci, dla których wyprawa do średnio-wiecia to zbyt krótka podróż w czasie, też nie będą rozczarowani. Na Møn odnajdą kurhany z epoki brązu i neolitu. Dodatkowego smaczku wakacjom na wysepce dodaje droga, którą można się na nią dostać. Jest nią liczący blisko 750 m most Królowej Aleksandry, który łączy Møn z największą duńską wyspą Zelandią.



54°59'N 12°22'E



Dojazd Mostem Królowej Aleksandry prowadzącym z Kalvehave, oddalonego o ok. 2 godziny drogi samochodem od Kopenhagi, do której można dostać się promem ze Świnoujścia.



FOT. SHUTTERSTOCK

Rugia, Niemcy

Największa z niemieckich wysp jest miejscem związanym z kulturą dawnych Słowian. Jedną z atrakcji jest Arkona – przylądek, na którym znajdowało się ostatnie sanktuarium zachodnich Słowian.

Zachwycające są przedwojenne kurorty Binz i Sellin ze stylową białą zabudową i atmosferą dawnych miejscowości wypoczynkowych. Tajemniczym miejscem jest Prora – zbudowany przed II wojną światową gigantyczny ośrodek wypoczynkowy, który ciągnie się na długości 4,5 km. Jeśli chodzi

o miejsca piękne, wybór jest olbrzymi. Nie można przegapić wizyty w najmniejszym parku narodowym w Niemczech – Jasmund. Tworzą go pierwotne lasy bukowe i kredowe klify, a wśród nich słynny Królewski Tron z punktem widokowym.



54°21'N 13°22'E

Wyspa jest oddalona o ok. 2 godziny drogi samochodem od Szczecina. Z lądem łączy ją most.

Olandia, Szwecja



FOT. SHUTTERSTOCK



56°40'N 16°38'E

Wyspa jest oddalona ok. 1,5 godziny drogi samochodem od Karlskrony, do której można przy płynąć promem z Gdyni.

Powodów, by odwiedzić Olandię, jest naprawdę dużo. Świadczy o tym choćby fakt, że na skrawku lądu o długości niespełna 140 km, a szerokości zaledwie kilku, wytyczono aż 17 rezerwatów przyrody. Niektóre z nich skrywają miejsca nie tylko piękne i unikatowe, ale i niezwykle, egzotyczne. Do takich z pewnością należą: Pola Neptuna – kamienna plaża z wapiennych płyt oraz Byrums raukar – część wybrzeża, z którego wyrastają kamienne kolumny. Symbolem wyspy są też pola wiatraków.

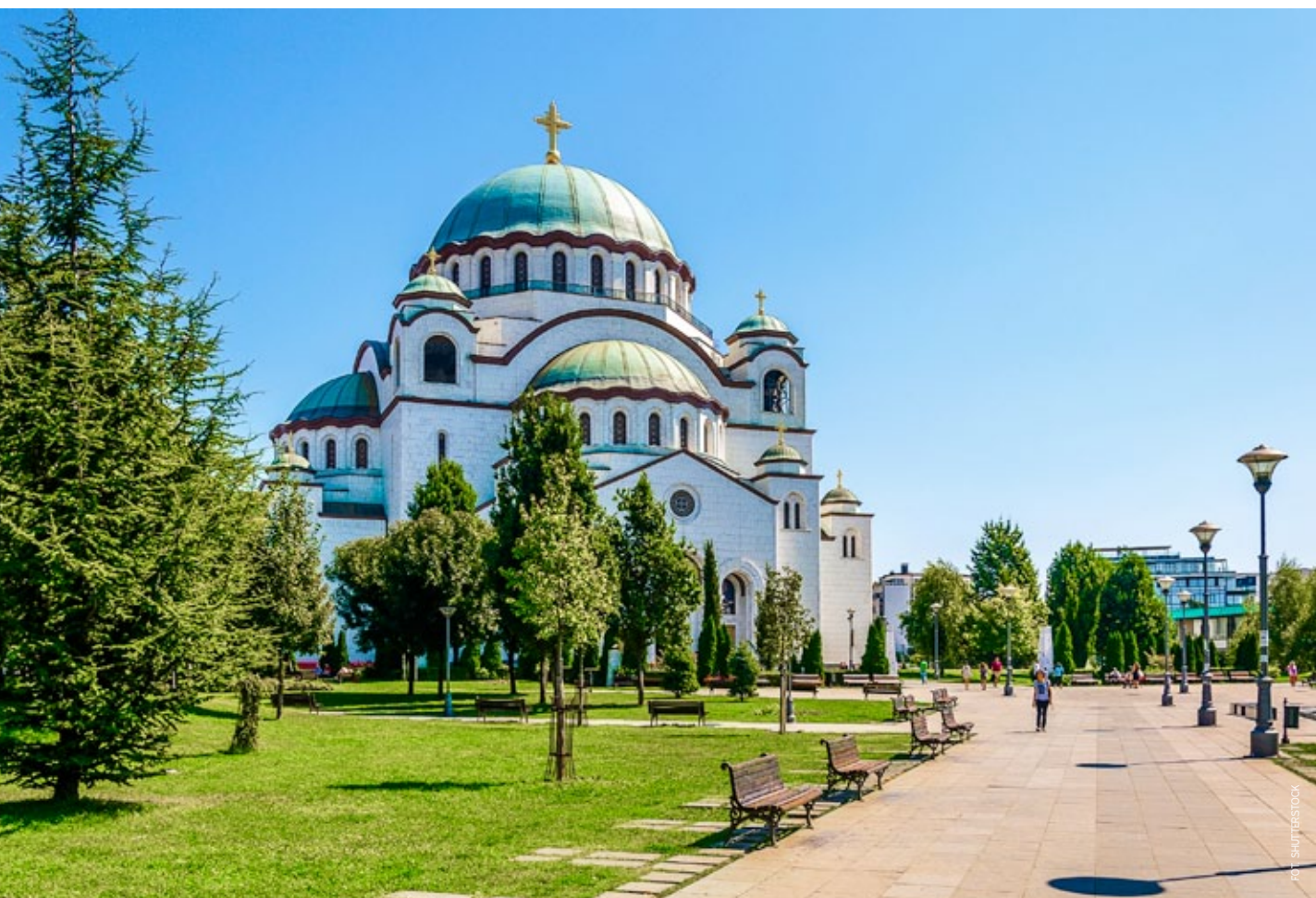
Jednak tym, z czego Olandia słynie na całą Skandynawię, jest Las Trolli. Trollskogen znajduje się na północy wyspy i sprawia wrażenie czarodziejskiej krainy. Łatwo tu uwierzyć, że między fantazyjnie powyginanymi drzewami mieszkają baśniowe stwory, które podglądają spacerujących po lesie turystów. Według legendy domem leśnych stworów jest Trolleken – potężny stary dąb, który nawet na niedowiarkach robi imponujące wrażenie.

NAJGOŘĘTSZE DERBY EUROPY

Dominik Popek



Na przestrzeni kilkudziesięciu lat Belgrad był stolicą trzech państw: Jugosławii, Serbii i Czarnogóry oraz Republiki Serbii. To miasto, które wciąż nosi piętno wojny. Miasto, w którym wrze bałkański temperament. I w końcu – miasto, w którym są rozgrywane najgorętsze piłkarskie derby w Europie.



ZACHWYT I ZAWÓD

Cerkiew św. Sawy w Belgradzie zachwyca ogromem. To jedna z największych świątyń prawosławnych na świecie. Niestety, w środku wciąż nieukończona.

Historia Belgradu sięga ponad siedmiu tysięcy lat. Już w paleolicie zamieszkiwano ziemie między Sawą i Dunajem. Od IX w. miasto funkcjonuje pod znaną nam dziś nazwą Belgrad. Ubiegły wiek, najtragiczniejszy w historii ludzkości, odcisnął ślad również w centrum Bałkanów. Stolica Serbii w XX w. wylała mnóstwo krwi. Podczas II wojny światowej Belgrad

został czterokrotnie zbombardowany, tysiące ludzi straciło życie, a miasto zostało w dużym stopniu zniszczone. W latach 90. operacja Allied Force NATO sprawiła, że zginęło dwa tysiące cywili, a kluczowe dla miasta budynki Ministerstwa Obrony i Sztabu Generalnego zostały zniszczone. Oba obiekty są do dzisiaj zabezpieczane, mają przypominać o wojnie. Agresja NATO finalnie zbliżyła jedynie Serbów



FOT. NENAD NEBOVACKI - SHUTTERSTOCK

do Rosjan, a pamiątki z Władimirem Putinem to od lat codzienność na ulicach miasta.

SPACER PRZEZ BELGRAD

Idąc w stronę placu Slavija, oddalając się od zniszczonych budynków i dworca, który znajduje się tuż obok nich, natrafiamy na przepiękną fontannę, jaka w ostatnim czasie powstała na tym skrzyżowaniu, a także na... pierwszego w historii byłej Jugosławii McDonalda. W pobliżu wylania się również wznosząca się nad miastem wizytówka Belgradu – cerkiew św. Sawy, jedna z największych cerkwi prawosławnych na świecie. W najwyższym miejscu osiąga nawet 79 m.

Spacerem zmierzając do centrum, natrafiamy najpierw na Muzeum Nikoli Tesli. Powstanie takiego miejsca było wolą samego serbskiego odkrywcy, wynalazcy takich urządzeń, jak silnik elektryczny, radio czy bateria słoneczna. Ledwie kilka minut dalej



FOT. DOMINIK POJEK

MARAKANA

Tak nieoficjalnie nazywa się stadion Crveni zvezdy. Jego pojemność według różnych źródeł to 51–55 tys. osób, ale niemal na pewno na najważniejszych meczach zjawia się tutaj znacznie więcej kibiców.

GWIAZDA GWIAZDY

Rajko Mitić, legenda klubu. To jego imię nosi stadion Crveni zvezdy. W jej barwach grał półtorej dekady.

znajduje się park Tašmajdan, który zdecydowanie najlepiej prezentuje się pod osłoną nocy. To w nim znajduje się druga najważniejsza cerkiew Belgradu – św. Marka, wybudowana w 1940 r. Są w niej m.in. szczątki cara Serbii Stefana Duszana.

Miejsce stricte turystyczne, które z pewnością także jest warte uwagi, to urokliwa ulica Skadarlija, najbardziej artystyczna część Belgradu. W znajdujących się tutaj knajpach jadali m.in. Jimi Hendrix, George Bush czy Alfred Hitchcock. Ze względu na panoramę miasta i usytuowanie tuż nad ujściem Sawy do Dunaju koniecznym do odwiedzenia miejscem są



HERSZT TYGRYSÓW
Željko Ražnatović,
nacjonalistyczny
polityk, twórca
i dowódca jednostki
paramilitarnej Tygrysy
Arkana. Fanatyczny
kibic Zvezdy. Jego
podobizna przyozdabia
mury stadionu klubu
Obilić, którego
był właścicielem.

także fortyfikacje Kalemegdan, wybudowane jeszcze za czasów celtyckich.

ŚLADEM ARKANA

Nie tak dawno, bo 15 stycznia 2000 r., w Belgradzie został zamordowany Željko Ražnatović. To nacjonalistyczny serbski polityk, dowódca Tygrysów, który mocno odznaczył swoją obecność również na trybunie fanatyków jednego z dwóch najpopularniejszych serbskich klubów piłkarskich – Crveny zvezdy Belgrad. W 1990 r. został szefem Delije (główna grupa kibiców Crveny zvezdy), niedługo

później z częścią z nich utworzył Serbską Gwardię Ochotniczą, zwaną Tygrysami Arkana. Jego organizacja brała udział w walkach w Chorwacji oraz w Bośni i Hercegowinie, w szczytowym momencie osiągając nawet liczbę 10 tys. członków. Tygrysy Arkana były oskarżane o dokonywanie czystek etnicznych. Sam Arkan w 1995 r. ożenił się ze znaną serbską piosenkarką Cecą (młodsza od niego o 21 lat), której plakaty promujące koncerty i płyty wciąż są obecne w mieście. Podczas mojej czwartej wizyty w Belgradzie odwiedziłem miejsca mocno związane z tą legendarną, ale budzącą kontrowersje serbską postacią.



Najpierw udałem się na cmentarz, gdzie chyba każdy zna lokalizację grobu Arkana – na informację, że jestem studentem z Polski, dostałem nawet mapę cmentarza. Następnie podążyłem na stadion FK Obilić – klubu, który w latach 90., po wojnie na Bałkanach, kupił Arkan – chociaż pierwotnie chciał kupić Crvenę zvezdę. Nazwa klubu nawiązuje do legendy o Serbie Obiliciu, który w 1389 r. miał ugodzić tureckiego sułtana zatrutym sztyletem przed walką o Kosowo. Arkan zmienił barwy klubowe, w godle umieścił swojego Tygrysa i dzięki zastraszeniu rywala doprowadził klub do jednego mistrzostwa. Zdarzało się,

że uzbrojeni ludzie Arkana wchodzili w przerwie do szatni rywali, ba, nawet zamykano najlepszych zawodników przeciwnika i nie wypuszczano ich na murawę. Sam stadion to dziś zamknięta twierdza. Da się go zobaczyć jedynie, gdy wejdziemy na mur od strony podwórka strzeżonego przez psy. Na murach widnieją rysunki nawiązujące do Belgradu, a także jedna podobizna Arkana.

Ostatnim miejscem w Belgradzie związanym z Arkanem był hotel Crowne Plaza Belgrade. Czterogwiazdkowy przybytek znajdujący się w dzielnicy Nowy Belgrad to miejsce, gdzie w styczniu 2000 r. zamordowano

BAŁKAŃSKI KOCIOŁ

Taki widok to podczas derbów Belgradu norma. Spontaniczność, żywiołowe reakcje na wydarzenia boiskowe i miłość do pirotechniki – bałkańska atmosfera na trybunach jest niesamowita. Tutaj race odpalają nawet dzieci.



WIARA NA MECZ!

Główna droga z miasta prowadząca na stadion Crveny zvezdy i masa kibiców udających się na derby. W tym tłumie, jak i potem na stadionie, wszyscy traktowali Polaka życzliwie.

Ražnatovica oraz jego dwóch ochroniarzy. Oficjalne przyczyny zabójstwa nie są znane do dziś.

SPOTKANIE NA MARAKANIE

Spotkanie Crveny zvezdy i Partizana dla każdego fana kibicowskich wrażeń jest obowiązkiem do odhaczenia. Zamierzałem być na stadionie na godzinę przed meczem, mając w pamięci tłum przed bramą i ścisk na trybunie podczas poprzedniej wizyty na meczu na Marakanie, stadionie Crveny zvezdy. Na moście nad autostradą, niedaleko przed stadionem, policja zatrzymała jednak hordy

rozśpiewanych kibiców Zvezdy. Okazało się, że w pobliżu doszło do małego starcia między Grobari (kibice Partizana Belgrad) i Delije (kibice Crveny zvezdy Belgrad). Wszystko złożyło się na fakt, że wspólnie z coraz bardziej wkurzonymi Serbami znalazłem się w bardzo nieciekawym położeniu. Trzeci rząd przed policją, po boku jedynie barierka mostu, a za mną coraz bardziej napierający fani, od czasu do czasu w przerwach między piosenkami obrzucający policję butelkami. W końcu jednak nas puszczono. Ruszyłem na stadion, gdzie czekała mnie walka o dopchanie się do środka. O przeszukaniu mnie nawet nie będę pisał, ochrona była bardziej zainteresowana



ze świętowaniem przez tę ekipę 30-lecia jej istnienia, stąd remake historycznego choreo.

Skłóceni kibice Partizana byli podzieleni na trzy sektory, oddzielone od siebie strefą buforową. Od lewej siedzieli: Zabranjeni, Grobari – Juzna Tribina oraz Grobari – Partizanovci. Pojawiały się u nich transparenty i pojedyncze race, a prawdziwe racowisko wybuchło po голу w 36. minucie. Szczególnie Juzna Tribina i Partizanovci odpalili mnóstwo rac, które w połączeniu z flagami, a także pojedynczymi petardami, dały świetny efekt. Sporo rac miało skrzydła i lądowało co najmniej na bieżni, jak nie w okolicach fotoreporterów.

Obłądnie – szczególnie z innych sektorów – wyglądał także pokaz, kiedy w sektorze Delije świeciło się, dymiło od rac, które odpalali nawet najmłodszy pod opieką rodziców, i naprawdę melodyjnie i głośno dopingowano. Po голу wyrównującym natomiast kibice wpadli w szal i znikąd znów pojawiło się mnóstwo rac. Mecz zakończył się wynikiem 1:1. Były to moje pierwsze Wieczne derby Serbii i choć byłem wcześniej na meczu Zvezdy, derbach Stambułu, derbach Mediolanu czy polskich klasykach, to atmosfera, jaka panuje na meczu w Belgradzie, jest wyjątkowa, nieporównywalna z niczym innym. Samo miasto również urzeka – byłem w nim po raz czwarty, a już teraz planuję kolejny wypad. ○



Dominik Popiek

Fanatyk futbolu, dobrej muzyki, podróży, neapolitańskiej pizzy i Quentina Tarantino. Absolwent UAM, autor powieści „Uciążliwi”.

ODDANI FANI

Graffiti na stadionie. Delije sever to ekipa fanów Crveny zvezdy. Na tegorocznych derbach obchodzili 30-lecie istnienia.

paleniem papierosów niż sprawdzaniem biletów. Na chwilę przed rozpoczęciem udało mi się dostać na trybuny i zająć miejsce na krześku, gdzie przyszło mi przestać kolejne dwie godziny. Gdy piłkarze wyszli z tunelu, sektor zajmowany przez najbardziej zagorzałych Delije zaprezentował ogromną kartoniadę w kolorach białym i czerwonym, którą po chwili wzbogacili o flagi. Do tego dołączyły race.

W 30. minucie gospodarze zaprezentowali jeszcze choreografię, taką jak na meczu z Hajdukiem Split w 1989 r., z hasłem przewodnim „Volim Te”, czyli „Kocham Cię”, nad którym trzymano jedenaście liter nazwy grupy kibicowskiej Delije Sever. Miało to związek





OSTATNIA DZIKA RZEKA cz. 3.

Nie wiedzieliśmy nawet, czy popłyniemy. Zbudowaliśmy drewnianą tratwę, która tonęła, przebudowaliśmy ją i drewniane bele zastąpiliśmy 200-litrowymi beczkami po ropie, ale nadal nie byliśmy pewni, czy popłynie. Zamierzaliśmy dotrzeć spod Terespoła do Serocka, a nie wiedzieliśmy, czy wszystko nie skończy się za następnym zakrętem.

Odepchnęliśmy się od brzegu i czekaliśmy. Z niepokojem patrzyłem na rzekę i potencjalne niebezpieczeństwa. Kilka minut po starcie wpląnęliśmy pod kilkunastometrową skarpę, na której szczycie stali turyści. Były pierwsze pytania: „dokąd? po co?”. Na dziesiątki takich samych odpowiedzi przez następne dwa tygodnie: po to, żeby pokazać ostatnią dziką rzekę w Polsce, opowiedzieć o tym, jaką ma wartość, i ochronić ją przed zniszczeniem.

Pychami, czterometrowymi drewnianymi drągami, odepchnęliśmy się od brzegu, na który zniósł nas nurt, i popłynęliśmy dalej. Mieliśmy na rufie silnik, na wypadek silnego czołowego wiatru albo gdyby nagle moja żona zaczęła rodzić, a ja musiałbym szybko do niej dotrzeć, ale

woleliśmy go nie używać bez potrzeby. Chcieliśmy płynąć w ciszy, niesieni jedynie przez prąd rzeki.

Ten płynął, jak mu było wygodnie. Jemu nie przeszkadzały kamienie, mierzliny i drzewa zatopione w rzece. Dla nas wszystko to było niebezpieczne. Na pierwszą kłodę wpadliśmy po kilkunastu minutach. Była dobrze widoczna – wielkie, rozłożyste drzewo – i zderzenia można było uniknąć, ale za późno zaczęliśmy kontrować tor ruchu. Walnęliśmy burtą. To są jedne z najbardziej niebezpiecznych incydentów na rzece. Zderzenie burtą z drzewem zwykle oznacza wywrotkę: nurt podmywa kajak, człowiek panikuje, traci równowagę i wpada do wody. A wtedy, przy braku zimnej krwi, już jest prosta droga do tragedii. Na szczęście my, na naszej dwutonowej tratwie, byliśmy

bezpieczni. Leniwy, lipcowy nurt Bugu nie był w stanie nam zagrozić. Trochę poprzeklinaliśmy, nasapaliśmy się, odychając tratwę żerdziami, ale wróciliśmy w główny nurt.

Po lewej stronie mieliśmy Polskę, po prawej – Białoruś. Oba brzegi niemal szczelnie zarośnięte. Trawy, krzaki, samosiejki, młode, aspirujące drzewka i wielkie olsy, wierzyby i inne wilgotnolubne. Jedne wpadają na drugie, wrastają, oplatają, rozpychają się gałęziami, próbując zdobyć odrobinę więcej słońca, żeby jeszcze bardziej zdominować pozostałe i zagarnąć więcej przestrzeni. W końcu patrzyłem na las. W niczym nie przypominał tego, co znałem spod Warszawy czy Poznania – równo posadzonych przez leśników sosenek, ładnie wyglądających, ale bez większej wartości. Chyba że dla przemysłu

drzewnego, dla nich takie plantacje są jak marzenie. Ale jeśli chodzi o las, to lasem było to, co miałem przed oczami: gąszcz i chaos pełen „martwego” drzewa, na którym wzrastały kolejne leśne pokolenia.

Te same martwe drzewa leżące w rzece stanowiły świetne żerowisko i miejsce do rozrodu dla ryb. Im więcej było ich w wodzie, tym lepiej dla przyrody, choć my mieliśmy z nimi trochę problemów. Tak naprawdę odcinek „białoruski” to był niekończący się slalom gigant tratwą pomiędzy konarami i nasłuchiwanie, czy jednak w coś nie walnęliśmy. Po zderzeniu z drzewem po rzece roznosił się głęboki, metaliczny tętent, a my na chwilę zamieraliśmy w oczekiwaniu, czy mamy przebite becзки, czy jednak popłyniemy dalej.

Po drodze zaczepialiśmy ludzi. Wędkarzy, czy coś złowili (nikt niczego), kajakarzy (a właściwie oni nas), spacerowiczów. Parę z psem i kolegą zagadaliśmy pod Pratulinem. Oni spacerowali skarpą, my poniżej krzyczeliśmy przez rzekę. W końcu zatrzymaliśmy się na mieliznie, Artur zszedł do nas i przysiadł na konarze drzewa, żeby porozmawiać.

– *Wiem o planach regulacji Bugu, a teraz właściwie o planach budowy kanału żegludowego, który ma być częścią międzynarodowej drogi wodnej E40. Jak to na nas wpłynie? Jestem rolnikiem, mam 0,7 hektara aronii pod Siemiatyczami. Drugi rok rzędu jest susza, codziennie biegamy z wodą i podlewamy. Przystajemy już dawać radę, więc instaluję system nawadniania. Po powstaniu kanału z wodą ma być jeszcze gorzej, susze mają być niemal dwukrotnie częstsze – mówi Artur. – Niektórzy mieszkańcy już teraz widzą dno w swoich przydomowych studniach, a jest dopiero lipiec.*

Wody z każdym dniem w Bugu ubywało. Podczas budowy tratwy bałem się, że robimy to zbyt wolno i nie zdążymy, zanim niski poziom wody uniemożliwi nam spływ. Jednego dnia z rzeki odpłynęło kilka centymetrów.

Można było stanąć na środku rzeki i wody mieć do pasa. Na Białoruś można było przejść, co prawda nie suchą stopą, ale bez zamaczania głowy na pewno. Rzeka, która była postrachem całej Polski jako ta zabójcza, ta z wirami, co masowo topi ludzi, wyglądała dość marnie. Jakby była na emeryturze.

Pozegnaliśmy się z Arturem i popłynęliśmy dalej. Następny tydzień upłynął nam na obserwacji Bugu i ptaków: czapli



Polski Caravanning

Podróż przecież nie zaczyna się w momencie, kiedy ruszamy w drogę, i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety.

Ryszard Kapuściński

Zaprenumeruj 6 wydań za 75 zł

prenumerata@polskicaravanning.pl, tel. 58 777 01 25-28 wew. 308, tel. 604 407 079

www.polskicaravanning.pl

R E K L A M A

siwej i białej, bobrów, jaskółek i ptaków drapieżnych, których w tej chwili nawet nie potrafię nazwać. Drastyczna zmiana zaczęła się po przepłynięciu Niemirowa, od kiedy po obu stronach rzeki mieliśmy już Polskę. Nie tylko zaczęły płynąć z nami ścieki, których wcześniej było niewiele albo w ogóle, ale Bug zaczął się wypłycać. Mniej meandrował, częściej płynął szeroko i prosto. Dla nas oznaczało to walkę z mieliznami. Od Niemirowa więcej czasu spędzaliśmy w rzece – albo szukając głębszych fragmentów, którymi moglibyśmy przepłynąć, albo na wypychaniu tratwy z płyczn. Pod Drohiczynem w ciągu czterech godzin przepłynęliśmy półtora kilometra i sześć razy wpadliśmy na mieliznę.

Dwa dni później, kilkanaście kilometrów dalej miałem już dość. Przez drugi tydzień spływ zamienił się w wypych i nie było sensu dalej tego ciągnąć. Zaccumowałem tratwę w bezpiecznym miejscu i zszedłem na ląd. Pierwszy raz od trzech tygodni nie musiałem brodzić w wodzie, moknąć w deszczu i wypatrywać przeszkód w nurcie. Wystarczyło, że minęło kilka dni, i już za tym wszystkim zatęskniłem. ○

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy.





CZŁOWIEK-PENSJA

Jakub Jagodziński

Gejsza, sushi i samuraj, bonsai, manga i anime... To stare i nowsze skojarzenia związane z kulturą Japonii. Po II wojnie światowej pojawił się tam, wzięty zresztą z angielskiego, „salaryman”. „Człowiek-pensja” – wówczas uosobienie ustatkowanego życia klasy średniej. Kim jest on dzisiaj i jak funkcjonuje w japońskim społeczeństwie?

Tokio. Jest rano. Na ulicy czuję się jak duch. Mimo że mijam setki ludzi, nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nie widzę rzucanych ukradkiem, zaciekawionych spojrzeń. Oczy przechodniów są wlepione w ekrany telefonów lub nieobecne, może z niedospania.

Dochodzi dziewiąta, za chwilę większość z nich zacznie pracę. Ten tłum to przeważnie mężczyźni, ubrani w lepiej lub gorzej skrojone

garnitury. Niektórzy mają na twarzach białe maski. Poruszają się szybko i myślami mogą być wszędzie, ale z pewnością nie tu i teraz.

SMUTNE ŻYCIE BIAŁEGO KOŁNIERZYKA

Po pół godzinie ulice pustoszeją. Idąc, czuję się jak bohater filmów z Jackie Chanem, które oglądałem w dzieciństwie. Wprawdzie Tokio



FOT. JIANG JACODIN/ISTOCK



FOT. JAKUB JARODZINSKI

to nie Hongkong, ale bogactwo szyldów reklamowych przenosi mnie gdzieś do tłocznych ulic tego chińskiego miasta. Z rozmyślań wyrwa mnie w końcu robotnik, który nadzoruje plac budowy. Za chwilę wyjedzie na nas ciężarówka, a on gestem ręki prosi, żebyśmy poczekali. Gdy pojazd odjeżdża, robotnik kłania się nam nisko i cierpliwie tkwi w zgięciu, póki go nie minimy.

Stołeczne zieleńce są popularnym miejscem odpoczynku. Sprawdzam to w parku Shinjuku Gyoen. Siadam na trawie pod piękną, różowobiałą wiśnią, która dopiero co zakwitła. Wtapiam się w krajobraz. Tak odpoczywają mieszkańcy Tokio. Mają też piknikowe koszyki i zdają się beztroscy.

Kilka stacji metra dalej mieści się kompleks buddyjskich świątyń Sensō-ji, z których najstarsza sięga VII w. Kobiety ubrane w tradycyjne

kimona, zapach kadzideł i niekończąca się masa turystów. Okolice z powodu tłumu zwiedzających przypomina wprawdzie jarmark, ale czuje się tu aurę wschodniej duchowości.

Czy ci zestresowani mężczyźni, ubrani w garnitury, w których niezdarnie pędzą po ulicach, znają takie miejsca? Bo mam nieodparte wrażenie, że muszą pochodzić z innej planety, wcale nie japońskiej.

Salarymani to mężczyźni, którzy stanowią znaczną część tego społeczeństwa. Zatrudnieni w korporacjach, przygotowani do pracy jako celu samego w sobie, gotowi pracować ponad 60 godzin tygodniowo i porzucić indywidualizm na rzecz oddania firmie. Każdy z nich w swym kolektywie jest w pełni dyspozycyjną częścią tego szaleństwa.

Przekonuję się o tym u mojego gospodarza, Yushiro. Najpierw niepochlebnie wypowiada

KWIECIEM PACHNIE

Shinjuku Gyoen jest znane jako miejsce praktykowania hanami – zwyczaju podziwiania urody kwitnących drzew.



STARA JAK NOWA

Świątynię Sensō-ji, położoną w dzielnicy Asakusa, rocznie odwiedza około 30 mln osób. To najstarszy budynek sakralny w Tokio, ale bardzo często i pieczołowicie odnawiany.

się na temat pracowników fizycznych, przypisując im negatywne cechy i brak obycia. Sam oczywiście pracuje dużo i ciężko. Najważniejsza jest pozycja. Korporacja musi go doceniać, bo jako jej przedstawiciel często lata w delegacji do różnych zakątków świata. Pokazuje mi paszport. Cały w stempelkach. Dwa dni temu wrócił z Węgier, a pojutrze leci do Niemiec. Prosi, żeby pomóc mu złożyć garnitur na wyjazd. Kupił do tego specjalną plastikową deskę na eBayu. Kosztowała go 40 dolarów, ale nie radzi sobie z jej obsługą. Yushiro lubi to, co nowoczesne. W jego mieszkaniu znajdziesz smart TV, głośnik Bluetooth, dwa smartfony, śmietnik otwierany za pomocą czujnika ruchu oraz specjalną muszlę klozetową. Jego

inteligentny kibel ma podłokietnik z panelem przycisków i potrafi zagrać muzyczkę, zamienić się w bidet czy podgrzać deskę, na której, ekhm... siadasz.

NIE MA CZASU NA ŚNIADANIE

Yushiro ma 33 lata. Miwa Sado była dwa lata młodsza, kiedy zmarła z powodu niewydolności serca. Mam nadzieję, że nasz gospodarz cieszy się dobrym zdrowiem, ale wiem, że rocznie 10 tys. salarymanów umiera z powodu *karōshi* – śmierci z przepracowania. Choroba zabija poprzez udar mózgu czy zawał mięśnia sercowego. Około dwa tysiące salarymanów w związku z pracą popełnia samobójstwo.

Jeśli ich życie nie kończy się zejściem z pracopracowania, to w wieku 60 lat mają prawo zawiesić garnitur w szafie. Przejdą na emeryturę, ale wtedy czyha na nich kolejna pułapka: 36 tys. rozwodów rocznie – tyle dotyczy japońskich małżeństw w wieku emerytalnym. Praca zajmuje mężczyznę od rana do wieczora, a dom pełni funkcję hotelu, do którego wraca tylko po to, żeby jeść i spać. Spędzają niemal całe życie osobno. Po kilkudziesięciu latach okazuje się, ile jest warte małżeństwo między obcymi sobie ludźmi.

Yushiuro chyba wierzy w miłość, skoro wciąż czeka na tę jedyną. A może po prostu uważa, że tak popularne małżeństwa z rozsądku to na tyle wygodne rozwiązanie, że nie musi się specjalnie spieszyć?

Rano budzimy się w mieszkaniu naszego gospodarza, który jednak nie ma czasu na śniadanie czy pogawędkę. Dziesięć minut na toaletę i przebranie się w garnitur wystarcza. W tym czasie zakładam plecak i w myślach wspominam wczorajszy wieczór. Popijając słodką *choya* i przegryzając słonawę pierożki *gyoza*, słuchałem ciekawych historii o życiu w Japonii. Yushiuro opowiedział trochę o lokalnych zwyczajach, koncentrując się szczególnie na tym, co można, a czego nie wypada robić. Nie powinno się na ulicy rozmawiać przez telefon, a nos powinno się wydmuchiwać tylko w toalecie, w korytarzu zaś zawsze należy zdjąć buty, aby nie brudzić wejścia. Oprócz tego nie należy: jeść, pić i palić na ulicy, no i wyciągać ręki na powitanie (Japończycy unikają dotyku).

Słuchałem tych wszystkich nowinek z fascynacją. A teraz stoję w korytarzu i czekam, aż się zbierzemy. Po chwili

jedziemy windą i na klatce schodowej robimy pamiątkowe selfie. Po czym Yushiuro dołącza do porannego pochodu.

BEZPIECZNIE, AŻ NIESWOJO

Spaceruję po nowoczesnym centrum Tokio, idąc wzdłuż pasażu handlowego. Większość mijanych sklepów oferuje elektronikę. Przed jedną z witryn ustawiono krzeselko i kontroler do oldskulowego Nintendo. Ekran jest już wewnątrz sklepu. Uruchamiam naparzanekę i cofam się do wczesnych lat 90. Wprawdzie polskie realia pozwalały nam najwyżej na grę na Pegasusie, ale klimat jest dokładnie taki sam. Wszystko wraca... Tutaj, ale i na ulicy obok. Tam cały sklep jest wyłożony bohaterami mangi i anime. Są pokemony, jest Naruto, Son Goku, Czarodziejki z księżycą i Shin-chan. Jest ich znacznie więcej, ale nie





FOT. JAMIE JAGCZYSKI

DOLA NA IDOLA

Cieńko zarobione pieniądze można wydać na maskotki przedstawiające bohaterów znanych mang i anime.

wszystkich rozpoznają. Przypominam sobie naklejki z pokemonami, które były dodawane do gumy do żucia w Polsce. Kto ich nie zbierał? Tokio pozwala mi na podróż do dzieciństwa.

W pobliskim sklepie kupuję niesłodzoną zieloną herbatę w plastikowej butelce i ruszam do metra. Nastal zmrok, jest godz. 21 i salarymani wracają właśnie z pracy. Trochę głodny spoglądam w stronę automatu z jedzeniem. Za chwilę podjedzie pociąg, ale ktoś mnie uprzedził. Patrę na szczęśliwca, który pewnie zdąży na najbliższy odjazd. Automat nie chce jednak przyjąć od niego pieniędzy – temat znany na całym świecie. Tylko okazuje się, że maszyna odmawia, bo w jej kieszeni czekała już gotowa do odbioru kanapka. Ktoś jej zapomniał. Szczęśliwiec wyciąga ją i kładzie na górę automatu, po czym kupuje taką samą. Oj, powierzyłbym mu klucze do mieszkania, gdyby był moim sąsiadem!

Głodny wsiadam do metra. Jeden z pasażerów przysypia, trzymając telefon, którym bawił się przed chwilą. To chyba najlepsza odpowiedź na pytanie o bezpieczeństwo w Japonii i uczciwość tego narodu. Tutaj po prostu nie

ma prawa nic ci się stać. Opuszczamy wagon metra i kierujemy się do wyjścia. Słychać jedynie stukot obcasów, który przywodzi na myśl żołnierski marsz. Poza tym panuje doskonała cisza, nikt ze sobą nie rozmawia, nikt nie gada przez telefon. Nie wiem dlaczego, ale czuję się nieswojo.

KOBIETA NIEPRACUJĄCA

W hostelu urządzonym w stylu *washitsu* (przesuwane drzwi, tradycyjna podłoga *tatami*) poznaję Polkę. Monika opowiada o życiu w Tokio. Zrobiła przerwę w japońskiej akademii, w której się uczy, i utrzymuje się z trzech prac dorywczych. Oprócz hostelu pracuje również jako kelnerka w restauracji. Nie może liczyć na napiwki, ale w Japonii już podstawowa stawka godzinowa pozwala przeżyć.

– Czym różni się praca w japońskiej restauracji od pracy w polskiej? – pytam, licząc na jakieś kulturowe smaczki.

– Tym, że goście częściej traktują cię jak powietrze. No i formułą, którą żegnamy naszych klientów – tego nie da się nawet dobrze



przetłumaczyć na polski, ale mniej więcej brzmi to tak: „Dziękujemy wielce szanownemu panu za to, że szacownie raczył zjeść obiad w naszej skromnej restauracji, i z pokorą zapraszamy szanownego pana do nas ponownie”.

Trzecia praca Moniki – opiekunka do dziecka – nie przynosi już zabawnego obrazu życia w Tokio. W dni wolne, kiedy rodzice są w domu, zajmuje się ich dzieckiem. Opowiada, jak maluch zabiega o uwagę ojca, który siedzi ze smartfonem na kanapie i przegląda wiadomości, ignorując syna. Matka krząta się po kuchni, a dziecko żyje samo sobie. Zastanawiam się, jaka jest tutaj definicja szczęścia rodzinnego? I jak czują się kobiety w tym zdominowanym przez mężczyzn świecie.

Ubrani w garnitury czy prochowce, permanentnie zmęczeni, czy raczej wyczerpani, pracują. A co robią ich żony? Zajmują się domem, wychowują dzieci i... wydzielają mężom kieszonkowe (tak – japoński mąż zarabia i o dziwo całość pensji oddaje żonie, otrzymując od niej pieniądze na drobne wydatki). Kobietom trudno tu o udaną karierę zawodową, bo większość lepszych stanowisk obsadzają

mężczyźni. Kobieta w Japonii nigdy też nie stała na czele rządu.

Czy to społeczeństwo jest tak skostniałe i zabetonowane, że nie potrafi dopuścić pań do głosu? A może się boi? Problem jest złożony i związany z kulturą oraz historią. Nie miejsce tutaj na szerszy wywód, ale ktoś, kto oczekiwałby zmian, powinien rozpocząć pracę u podstaw. I to pracę tytaniczną, zaczynając od przesiąkniętej seksizmem popkultury, gdzie dominuje wizerunek ponętnych, naiwnych i głośno piszczących nastolatek. Co więc znaczyłby dziś feminizm po japońsku? Sądzę, że na tym etapie – walkę o elementarny komfort bycia kobietą, nawet „tylko” w przytulnym mieszkaniu i z pensją zarobioną przez kochającego męża. Na większe zdobycze, w rodzaju prezesa dużej korporacji czy teki ministra, przyjdzie jeszcze czas.

Myszę o tym wszystkim, przegryzając kawalek ciastka *sakura* z białym serem i soloną wiśnią. O kwitnących drzewach, błyszczących neonach, zabieganych salarymenach i... eleganckich ukłonach. I ten będzie już ostatni – na pożegnanie. ○

POZNASZ, ALE NIE ROZRÓZNISZ

Salarymani w drodze do pracy. Można ich poznać po wiecznie zmęczonych twarzach i niemal identycznych garniturach.



Jakub Jagodziński

Archeolog, etnolog, antropolog kultury i splukany podróżnik. Występował m.in. na antenie radiowej Trójki oraz podczas gdańskich spotkań z podróżnikami. Autor bloga: www.brokeontheroad.pl



NIM ODLECA BIESZCZADZKIE ANIOŁY

Coraz krótsze dni zwiastują, że zbliżamy się do zimy. Kolory polskiej złotej jesieni starają się nam dodać otuchy przed długimi miesiącami szarości. Aby naładować akumulatory, najlepiej ruszyć w Bieszczady – nim z ostatnimi buczynowymi liśćmi odlecą tutejsze anioły.

Jeszcze 10 lat temu na zakręcie drogi do Mucznego działały retorty. Zapach palonego drewna otulał całą okolicę. Dzisiaj zamiast smolarzy można zobaczyć wystawę prezentującą tradycyjną produkcję węgla drzewnego. Kawałek dalej znajduje się zagroda pokazowa żubrów, a po kilku minutach dociera się do enklawy w tej leśnej

dżungli. Muczne zawsze robi na mnie wrażenie wioski na końcu świata. To mój ulubiony punkt startowy na Bukowe Berdo. Przy ośrodku Lasów Państwowych zostawiam samochód i żółtym szlakiem ruszam do góry.

Początkowo wędruje się dosyć błotnistą ścieżką przez las, ale im wyżej, tym szybciej błoto zastępują kamienie.

Po około godzinie spokojnego marszu wychodzi się ponad linię lasu i idzie jakiś czas stromo do góry. Po 15 minutach od wyjścia z lasu dochodzę do skrzyżowania szlaków. W prawo odbija ten do Widełek, a w lewo – w kierunku Tarnicy. Mierzące 1311 m n.p.m. Bukowe Berdo zdobywam po około godzinie marszu wygodnym szlakiem po grzbiecie, z którego

można podziwiać przepiękne bieszczadzkie panoramy. Ze szczytu aż chciałoby się iść dalej na Krzemień i Tarnicę, ale późniejszy powrót po samochód może być bardzo utrudniony. Wiele osób decyduje się na podróż autobusem i przejście tej niezwykle widokowej trasy w całości. Wymaga to jednak dobrego zaplanowania i zostawienia samochodu w odpowiednim miejscu. W bieszczadzkich realiach lepiej wcześniej umówić się z kierowcą busa czy taksówki na transport, bo brak zasięgu lub rozładowana bateria mogą doprowadzić do skomplikowanej sytuacji – busy nie kursują tu z taką częstotliwością jak w okolicach Zakopanego. Jesienią taki transport może być po prostu niemożliwy. Powrót od drogowskazu na Bukowym Berdzie (początek żółtego szlaku) do Mucznego to ok. 40 minut spaceru w dół. Pierwszy odcinek wymaga ostrożności, bo szlak prowadzi dość stromo po błocie.

Nasycony górkimi widokami ruszam dalej na podbój bieszczadzkiej krainy. W ostatnich latach zakochałem się w niespiesznym podróżowaniu samochodem po krętych, górskich drogach. Bieszczady



nadają się do tego idealnie. Drogi tworzą tutaj naturalne okręgi zwane Wielką i Małą Pętlą Bieszczadzką. Obojętnie który wariant się wybierze, przeżycia i widoki są niezapomniane. Moja ulubiona trasa wiedzie z Wetliny nad Jezioro Solińskie. Przed wyruszeniem wpadam na naleśnika giganta do Chaty Wędrowca. To już taka moja nowa świecka tradycja. Później przez Smerek dojeżdżam do Dołżycy i skręcam na drogę do Terki. Asfalt staje się kręty, wąski i niemal cały czas prowadzi malowniczą doliną wzdłuż górskiego potoku. Tą drogą dojeżdżam do Polańczyka. Tam parkuję przy Centrum Informacji Turystycznej (ul. Zdrojowa 1B) i podchodzę pieszo na pobliskie wzgórze. Roztacza się z niego najpiękniejsza panorama na Jezioro Solińskie. Gdy jest się tak blisko zapory w Solinie, trudno sobie odmówić przyjemności spaceru po niej i choć ceny parkingów są tam „zaporowe”, to naprawdę warto spojrzeć na taflę jeziora z 82-metrowej tamy.

Z Polańczyka ruszam w kierunku Ustrzyk Górnych. Po drodze prawie za każdym razem zaglądam do Muzeum Historii Bieszczad. Dzieje tych terenów nie były najprostsze. Pogranicze i zawiłe koleje losu sprawiły, że to, co dzisiaj oglądamy w Bieszczadach, pochodzi głównie z czasów najnowszych. Czas i ogień są największym zagrożeniem dla historii gór zapisanej w drewnie. Dzięki pracy Rafała i jego żony LeAnn możemy oglądać to, co przetrwało.

Po pokonaniu kolejnych dziesiątków zakrętów dojeżdżam do kościoła w Smoliku. Jest to dawna cerkiew św. Michała Archaniola, wybudowana 1791 r. W 2013 r. została wpisana na listę UNESCO. Za każdym razem zachwyca mnie widok na przepiękną okolicę. Tuż obok warto zatrzymać się w restauracji Wilcza Jama. Dojeżdżam do Ustrzyk Górnych. Po drodze zawsze zatrzymuję się przy moście na Sanie i podziwiam wijącą się nitkę niepozornej jeszcze rzeki. Nim wjadę na najpiękniejszy odcinek Wielkiej Pętli Bieszczadzkiej, skręcam w stronę Wołosatego. Przy odrobinie szczęścia można tu zobaczyć pasące się na pastwiskach konie z Tarnicą w tle.

Na zakończenie trasy ruszam z Ustrzyk Górnych w kierunku Wetliny. Jest to najbardziej malowniczy odcinek. Droga wije się po urokliwych lasach i pokonuje dwie przełęcze z pięknymi widokami na połoniny. Jednak jesienne Bieszczady to nie tylko zachwycające widoki. To też spotykani po drodze ludzie, którzy o tej porze roku mają zdecydowanie więcej czasu na rozmowę i opowieści o tutejszych klimatach. ◉

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



WIELKI BŁĘKIT

Sidi Bou Said przyciąga turystów, a jego niebieska zabudowa od wieków inspirowała artystów.





Paula Potasiewicz

KRAJ JAŚMINEM PACHNĄCY

– Zobacz, to podświetlone to Włochy. –
Wskazał palcem na okno siedzący obok
mnie pilot. Tego dnia leciał jako pasażer,
aby odwiedzić swoją rodzinę mieszkającą
w stolicy Tunezji. Niechcący najechałam
mu walizką na wypolerowane buty. Całe
szczęście, że przyjął to z uśmiechem
i za pomocą swoich znajomości załatwił
miejsce obok mnie.





FOT. PAULA POTASEWICZ

ALGIERCZYK PŁAKAŁ, JAK SPRZEDAWAŁ

Do Tunezji sprowadza się algierskie wielbłądy, które są bardziej wytrzymałe od lokalnych. Wielbłądzice karmią i opiekują się młodymi, samce służą Berberom jako transport.

W połowie trasy stewardessa wręczyła pasażerom karteczkę, na której należało podać datę urodzenia, numer paszportu oraz cel podróży. Pytania były w języku arabskim i francuskim, a żadnego z nich nie znam. Kolega pilot pożyczył mi długopis i pomógł uzupełnić formularz. Kolejny problem pojawił się, kiedy musiałam podać adres pensjonatu, w którym miałam się zatrzymać, a ja nie pamiętałam nazwy ani adresu lokum. I tym razem kompan podróży udzielił mi pomocy, podał mi adres swojego domu rodzinnego i zaproponował, że w razie kłopotów mogę na niego liczyć. Zostawił mi numer telefonu, na wypadek gdybym potrzebowała oprowadzenia po mieście, podwózki czy miała problemy z dogadaniem się z miejscowymi. Do dziś się przyjaźnimy. Jednak to nie z nim rozpoczęłam podróż.

RANDKA W TUNISIE

Na lotnisku od ponad ośmiu godzin czekał na mnie mój wybranek, poznany przez internet.

Emocje, jakie towarzyszą pierwszym randkom, są zawsze takie same. Algierczyk okazał się dokładnie taki, jak sobie wyobrażałam. Na lotnisku zapomnieliśmy o wypłacie gotówki, ale wy pamiętajcie o wymianie waluty oraz kupieniu karty komórkowej – bardzo pomoże ona w dostępie do internetu, który w Tunezji nie jest oczywistością.

Pensjonat wyglądał jak z filmów romantycznych – ogród pełen kwiatów, pnącze jaśminu wchodzące na balkon, mury skąpane w blasku świec i lampionów. Dzień w stolicy rozpoczął się tunezyjskim śniadaniem, składającym się z croissanta, dżemu z pigwy, jogurtu smakującego jak budyń, arabskiej kawy i przepysznego soku cytrynowego z pudrem migdałowym.

Po posiłku udaliśmy się do Muzeum Bardo. To tu 18 marca 2015 r. ISIS dokonało zamachu, podczas którego zginęły 23 osoby, a ponad 40 zostało rannych. Od tego czasu solidnie uzbrojona policja stoi w każdej części terenu muzealnego. Wnętrze budynku jest ozdobione przepiękną mozaiką, znajdującą się na ścianach oraz sufitach. Wśród eksponatów

znajdziemy rzeźby i sarkofagi nie tylko z tunezyjskich regionów, ale także m.in. z Włoch czy Grecji.

Lokalne targowiska tętnią życiem, pachną przyprawami, a miejscowi popijają w nich miętową herbatkę pomiędzy nagabywaniem turystów do zakupów. Souki, czyli targi, są bardzo popularne w krajach arabskich, to dzięki nim można poznać lokalne smaki, podziwiać rzemiosło i biżuterię.

Unoszące się w powietrzu zapachy doprowadziły nas do restauracji z widokiem na Al-Zaytuna – zabytkowy meczet z 43-metrowym minaretem. W lokalach niespecjalizujących się w rybach i owocach morza jest podawany starter składający się z bagietki, harissy, oliwek oraz tuńczyka w oliwie. Naszym lunchem był *brik* – trójkątna przekąska wykonana z cieniutkiego ciasta filo, wypełnionego masłem, tuńczykiem oraz jajkiem, smażona na głębokim oleju.

Po zaspokojeniu głodu zamierzaliśmy udać się do meczetu, jednak nasze stroje nie były odpowiednie. Postanowiliśmy

iść przed siebie i tak właśnie przypadkowo weszliśmy w sam środek włoskiej wycieczki. Kiedy chcieliśmy opuścić grupę, przewodnik zagarnął nas, nie słuchał sprzeciwu i zabrał na darmową lekcję tworzenia perfum. Właściciel perfumerii uczył procesu powstawania pachnideł, od zbierania produktów, przez filtrowanie w specjalnym urządzeniu, aż po przelanie jednorodnej substancji do flakownika. Dowiedzieliśmy się także, jakie znane marki dodają do perfum tunezyjskich daktylowców i jaśminu. Zapach Diora J'adore jest tego najlepszym przykładem. Zaintrygowała mnie fiołka perfum o nazwie Sidi Bou Said. – *To zapach tego miasta* – zagał twórca pokazu. Jaśmin, daktyle, piżmo... Uwiodły mnie na tyle, że jako następny cel podróży wybrałam właśnie Sidi Bou Said.



SMAKI MAGHREBU

Kuchnia tego rejonu ukształtowała się pod wpływem Berberów, Beduinów i Francuzów. Koniecznie trzeba spróbować dań z tażinu – tradycyjnego naczynia, w którym potrawy gotują się bardzo wolno, dzięki czemu są niezwykle aromatyczne.

TUNEZYJSKA GRECJA

W tym nadmorskim miasteczku położonym na klifie można zauważyć dużo podobieństw z Grecją: biało-niebieskie domy, drzewka oliwne, restauracje z obrusami w biało-niebieską kratę oraz kamienne śliskie deptaki. Sidi Bou Said robi wrażenie także nocą. Warto udać się do restauracji na dachu, aby podziwiać panoramę miasta i spróbować świeżych owoców morza. Przed lokalami są wystawione stoiska z rybami leżącymi na lodzie, tam możemy wybrać, na co

GŁOWA WIELBŁADA

Tak nazywa się tę skalną formację. Z jej szczytu można podziwiać panoramę pustyni, a podczas upału doświadczyć złudzenia optycznego – fatamorgany.





MALOWANE WROTA

Tunezyjskie drzwi to dzieła sztuki. Są zdobione wzorami kwiatów, gwiazd, półksiężyców i malowane na przeróżne barwy, choć najpopularniejszą jest błękit. Nic dziwnego, że są częstym motywem pamiątek.

mamy ochotę i jak kucharz ma je przyrządzić – w tempurze czy z grilla.

My skusiliśmy się na barwę, rybę z Morza Śródziemnego, charakteryzującą się różowym kolorem i smakiem przypominającą krewetki, oraz na kalmary grillowane w całości. Standardem takich restauracji są pakiety: zupa rybna, *brik*, *mechouia* (sałatka na ciepło z pieczonych papryk, pomidorów z dodatkiem jajka oraz czosnku), bagietka, harissa, oliwki, tuńczyk w oliwie oraz nasza wybrana ryba czy owoce morza – wszystko w zestawie z frytkami bądź ryżem.

Sklepy także są otwarte do późnych godzin nocnych. Można w nich kupić przedmioty wykonane z drewna oliwnego, w tym magnesy. Wśród turystów co druga kobieta jest przyozdobiona wieńcem z jaśminu, niezwykle popularnego w Tunezji, a sprzedawcy prześcigają się w tworzeniu bukietów ze zwiniętych główek tych kwiatów.



QUADEM PO SAHARZE

Postanowiliśmy znaleźć miasto, które leży na pustyni, ale można do niego dojechać pociągiem z Tunisu. Wybraliśmy Tauzar. Rano udaliśmy się na stację, kupiliśmy bilety i rozpoczęliśmy naszą dłużącą się w nieskończoność podróż. Planowo powinniśmy dotrzeć na miejsce w ciągu ośmiu godzin, jednak po dziesiątej przestaliśmy już liczyć.

Co przystanek do pociągu wchodzili sprzedawcy orzechów piniowych, noszący swoje produkty w plastikowych pojemnikach po farbie. Widoki zza szyby umilały nam czas – gaje oliwne, słone jeziora z różową wodą czy pagórkowe tereny. Znużeni, przysnęliśmy. Obudził nas huk. To miejscowe dzieci rzuciły kamieniami w pociąg.

W końcu, w środku nocy, dotarliśmy na miejsce. Zmęczeni podróżą krążyliśmy w kółko. Miasto było oświetlone tylko neonami hoteli, na ziemi leżał piach. Straciliśmy orientację poprzez ciszę i powtarzalność budynków – wszystkie zostały wykonane ze specjalnej cegły

wyglądającej po ułożeniu w całość jak wiklina. Nasz hotel znajdował się w oazie, otaczały go palmy daktylowe i bananowce. Wieczorem nie robiło to takiego wrażenia, jak następnego ranka, kiedy obudzona nawoływaniem do modlitwy, wyjrzałam przez okno.

Po śniadaniu i wyjściu z hotelu dostrzegaliśmy mężczyznę z dwoma wielbłędami. Zabrał nas na przejażdżkę do parku Ras al-Ajn. Na miejscu podziwialiśmy monumentalną rzeźbę wyrytą w skale – to popiersie poety Abou el Kacem Chebbi, który pochodził z tego miasta. Na podstawie jego wierszy powstał hymn Tunezji. Podczas przystanku w drodze powrotnej Berber odebrał telefon od swojego syna, który właśnie kupił dwa nowe quady i szukał osób do przetestowania ich w warunkach pustynnych. Nie rozmyślając wiele, zgłosiliśmy się na ochotników.

Młodzieniec przyjechał po nas i zaproponował, że będzie jechał pierwszy, a my na jednym quadzie za nim. Zabrał nas w kilkugodzinną podróż. Naszą wycieczkę

BARDO ŁADNE

Muzeum Bardo mieści się w XIX-wiecznym pałacu. Liczba i jakość zachowanych mozaik robi duże wrażenie. Wśród eksponatów znajdują się rzymskie rzeźby i sarkofagi.



WONNY I BARWNY

Targi obfitują w zioła i przyprawy, których zapach unosi się w powietrzu. Można kupić tu także lokalną hennę koloru zielonego pochodzącą z miejscowości Kabis.



FOT. PAULA POTANEWICZ



WIKLINOWE MIASTO

Tauzar charakteryzuje się specyficznym budownictwem. Cegły są układane tak, aby tworzyły całość przypominającą wyglądem wiklinę. Takie ich ustawienie pozwala na uzyskanie zdobień za pomocą tylko jednego budulca i koloru. Na zdjęciu meczet el-Ferdous.

rozpoczęliśmy od słonego jeziora, obok którego znaleźliśmy pięknie uformowany kryształ solny. Następnie udaliśmy się na ekstremalną jazdę po wydmach, zakończoną wspinaczką po górze nazywanej Głową Wielbłąda. Widok z niej zapierał dech. Schodząc, znalazłam najpiękniejszy kwiat – różę pustyni. To skupienie zrosniętych ze sobą kryształów gipsu o kształcie zbliżonym do płatków róży, czemu zawdzięcza nazwę.

Wolność, jaką czuliśmy, jadąc przed siebie środkiem pustyni, ogrzewani przez słońce, na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Nasza droga zakończyła się wraz ze zmianą podłoża z piasku na asfalt.

Po dotarciu do centrum, wygłodniali, postanowiliśmy udać się na obiad. Weszliśmy do pierwszej znalezionej restauracji. Okazało się, że serwuje ona specjalny posiłek – danie, w którego skład wchodzi warzywa, sos pomidorowy oraz mięso wielbłądzie. Wielbłądzina w smaku przypomina wołowinę, jest bardzo delikatna i smaczna. Zamówiliśmy

także *couscous à l'agneau* – tradycyjne danie tunezyjskie podawane w tażinie, *salade tozerienne* – sałatkę składającą się z pomidorów, oliwy i czosnku oraz na deser *pâtisserie tunisienne* – talerz słodczy tunezyjskich, a do niego tradycyjną bardzo słodką herbatę z miętą.

Po obiedzie udaliśmy się na spacer po mieście. Rozmawialiśmy o tym, że chcielibyśmy jeszcze zobaczyć gaj daktylowy. Mężczyzna pijący herbatę zerwał się na równe nogi i zaproponował, że podwiezie nas dorożką. Po dotarciu na miejsce opowiedział nam o gatunkach palm i rodzajach daktyli, zatrzymał się, abyśmy mogli zerwać je z drzewa. Poinformował nas o systemie nawadniania, pokazał kwiat bananowca, który pojawia się na palmie, kiedy ta wyda już wszystkie banany i obumiera. Skosztowaliśmy także zerwanych z drzewa granatów.

W hotelu po zmyciu z siebie ton piasku padliśmy na łóżko. To był piękny dzień. Naza-jutrz rano czekał nas pociąg do stolicy i powrót do naszych krajów. ○



Paula Potasiewicz

Dziennikarka, magister produkcji medialnej. Zdjęciami ze swoich podróży dzieli się na Instagramie: @zdobyczniswiata, a filmikami z wypraw na YouTube na kanale Paula Potasiewicz.



HISTORIA... KOTEM SIĘ TOCZY



FOT. ANNA ZENKOWICZ - WIKIPEDIA

Stoik to bezrasowiec. Piękny. Niektórzy dopatrują się w nim nawet urody i gracji kota balijskiego. To prawda. Przystojniak ma w sobie coś arystokratycznego. Jednak nie urodził się w pałacu, ale w jakiejś mazurskiej stodole. Z kolei Feluś to kot miejski, którego miejscem narodzin była zapewne piwnica. To chyba jedyny na świecie przykład kota niefotogenicznego, chociaż naprawdę jest śliczny. Jego siostra Pelasia, zwana także Sową lub Fredzią, to czarna długowłosa, trochę nieprzystępna piękność. Natomiast Frotka, siostra Felusia i Pelasi, miała najłatwiej. Od razu znalazła dom. Bo dziewczynka i o klasycznej kociej urodzie.

Wiadomo. Bezdomniaki nie mają łatwo. A to mają za dużo białego, a to nie są kocica, a to coś. Ludzie miewają, doprawdy, zdumiewające zastrzeżenia. Jednak na przestrzeni dziejów nie zawsze tak było. Człowiek czasami wynosił koty na piedestały i oddawał im boską cześć. Kiedy czasy się zmieniały, zaczynał je prześladować, aby później znowu je

wielbić. Kult i prześladowania. I tak w kółko. W zależności od nastrojów i klimatu danej epoki. Historia kołem się toczy. Kocia historia także. Jeśli się w nią zagłębić, można prześledzić kawał historii... człowieka. Zwłaszcza jego zmieniające się na przestrzeni wieków przekonania, wierzenia, priorytety i obyczaje. Zanim jednak cofnę się o tysiące lat, spieszę uspokoić, że historia Stoika, Felusia, Frotki oraz Pelasi

kończy się szczęśliwie. Cała czwórka znalazła domy i ma kochających właścicieli. Dlaczego dzisiaj akurat o kotach? Po pierwsze, bo jestem kociarą. Spokojnie, Kocham też wszystkie inne zwierzątka. Po drugie, bo koty jednak mają trudniej. Tyle złowieszczych mitów, ile wokół nich narosło przez wieki, to historia zupełnie bez precedensu w dziejach. Czas więc odczarować koty i odesłać

do lamusa te wszystkie straszne bujdy na ich temat. Po trzeciej, bo dużo ostatnio wędruję po rodzinnym mieście i właśnie tutaj odkryłam współczesny koci piedestał. „Rzeźba Kota Niezależnego Cyryla” to pomnik z brązu, który stoi na warszawskim Goławiu i symbolizuje bezdomne koty. Cyryl jest po prostu uroczy, zresztą oceńcie sami. Pomnik dla bezdomnych kotów? A dlaczego nie? Jak uczy historia, koty wiele razy ratowały ludzi z opresji. Mają swój wkład w rozwój ludzkości, pomnik więc im się słusznie należy. Zresztą nadal nam pomagają, a zakres ich wsparcia daleko wykracza poza regulację populacji gryzoni.

Kiedyś w każdym szanującym się archiwum był na etacie kot. Tępił myszy i szczury i wszyscy byli szczęśliwi. Teraz koty także znajdują zatrudnienie. I jak to w życiu, jedno mają lepszą robotę, drugie – trochę gorszą. Jedne harują anonimowo, inne wiodą luksusowe życie celebrytów. Właśnie taki szczęśliwy los spotkał rudego Maraja, który w swoim czasie przybłąkał się do Muzeum Historyczno-Artystycznego w podmoskiewskim Serpuchowie i już tam pozostał. Dziś jest lokalną atrakcją i chociaż mógłby pracować wyłącznie „twarzą”, nie gardzi przyziemnym łapaniem myszy. Coraz częściej koty pracują także jako licencjonowani zwierzęcy terapeuci w specjalistycznych szpitalach. Mają wstęp nawet tam, gdzie najbliższa rodzina chorego nie może wejść. Obecność kota obniża ciśnienie krwi, zmniejsza poziom stresu, łagodzi ból, ma działanie antydepresyjne, wzmacnia system odpornościowy... Koty naprawdę leczą! To jest udowodnione naukowo.

Czy wiedzieli o tym starożytni Egipcjanie? Trudno stwierdzić. Jednak z całą pewnością ich łowność doceniali fellachowie (rolnicy), którzy trzymali koty w celu tępienia dziesiątkujących zbioru myszy i szczurów. Egipcjanie wiele zwierząt uważali za święte, ale w tym panteonie koty zajmowały pozycję szczególną. To na ich cześć słynną boginię Bastet przedstawiano jako kobietę z głową kota. Mruczki były nawet otoczone opieką prawną. Jako zwierzęta boskie podlegały ochronie kapłanów, państwa i narodu. Za zabicie kota groziła kara śmierci. W razie nieszczęścia Egipcjanie przede wszystkim ratowali koty, nie siebie. Jeżeli kot zginął, cała rodzina gołała brwi na znak żałoby, balsamowała jego ciało, a następnie chowała w jednej

z kocich nekropolii. Niektóre ze znalezionych tam mumii kotów obecnie znajdują się w muzeach całego świata. Egipcjanie do tego stopnia czcili mruczki, że z ich powodu przegrali nawet jedną z walk z Persami, kiedy to podstępny wróg przyczepił te zwierzęta do swoich tarcz. Koty były w Egipcie pod szczególną ochroną, a za ich wywóz groziła kara śmierci. Mimo to, wraz z kupcami, trafiły z czasem do Palestyny, na Kretę, do Indii oraz do Chin i Japonii. Ciekawostką jest fakt, że dawni Chińczycy, tak jak Egipcjanie, również przypisywali kotom boską moc. Podobnie zresztą wyglądał ich kult w Japonii.

W pierwszych wiekach naszej ery koty pojawiły się we Włoszech i w Grecji. W X w. były już w całej Europie i Azji. Nigdzie jednak nie były prześladowane. Ich sytuacja zmieniła się dopiero z nastaniem chrześcijaństwa. Wtedy, na równi z pogańskimi bóstwami, zaczęły być tępione w Europie. Ludzie wytaczali im nawet procesy (w średniowieczu wydawanie wyroków na różne zwierzęta było standardem). W ich wyniku koty ginęły w wyjątkowych męczarniach. Wskutek tortur, okaleczeń, spalania na stosie lub ukamienowania. Przed całkowitym wyginięciem ocalała je wielka plaga szczurów. Wtedy ludzie przypomnieli sobie o kotach. Nawet w klasztorze na świętej górze Athos w Grecji, gdzie nie wolno było trzymać żadnych zwierząt, zwłaszcza rodzaju żeńskiego, pojawiła się kotka. Kolejna fala szczurów przybyła do Europy wraz z powracającymi z wojen krzyżowcami. Kościół surowo zabronił wtedy zabijania kotów. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, ludzie znowu zaczęli je tępić.

Mruczki bardzo powoli wracały w Europie do łask. Najpierw, w charakterze maskotek, zawiąły do pałaców. Później, ze względu na wiadomą użyteczność, trafiły do wiejskich stodoł i obór. Wszystko już było na dobrej drodze, ale raptem, po odkryciu przez Pasteura chorobotwórczej roli drobnoustrojów, ludzie zaczęli się bać kontaktów ze zwierzętami. Wszystkimi.

Dopiero wybuch I wojny światowej spowodował, że oprzytomnieli. Wobec zagrożenia masową inwazją szczurów koty (znowu) zostały uznane za sprzymierzeńców człowieka. W Europie miały się więc bardzo różnie na przestrzeni dziejów. Co innego w nowożytnej Ameryce Północnej. Tam pierwsi farmerzy od początku uważali je za bardzo pożyteczne zwierzęta, a ich ceny osiągały na targach rekordowe poziomy. To właśnie tam, dużo wcześniej niż w Europie, kot stał się zwierzęciem trzymanym po prostu dla przyjemności.

Co się stało z matką Felusia, Frotki oraz Pelasi? Wybrała wolność. Po szczepieniach i sterylizacji, mimo licznych prób, nie dała się udomowić. Ale zagłęda do znajomego ogrodu. Zawsze może liczyć na karmę, wodę i dach nad głową. W ogrodzie stoi też specjalny ocieplany domek, trochę jak buda dla psa. Tam się może schronić, zresztą jak każdy inny koci bezdomniak. To bardzo ważne, zwłaszcza w miastach, zimą porą. Wtedy wiele bezdomnych kotów zamarza, bo ludzie szczerze zamykają okienka piwniczne w budynkach. Widocznie zapominają, że historia także kotem się toczy. Jak wyginą koty, za nas znowu się wezmą myszy i szczury, niczym za legendarnego króla Popiela. Czy pojawi się wtedy szczurołap z baśni braci Grimm, który swoją cudowną grą na czarodziejskim flecie wywiedzie w pole te nieszczęsne gryzonie? Wątpię. Lepiej więc nie postępujmy krótkowzrocznie. Miejmy serce dla bezdomnych kotów i nie przeszkadzajmy ludziom, którzy im pomagają. W końcu stołeczny Cyryl to także symbol miłości i szacunku człowieka do zwierząt. ○



PIK GUNWAN VARTAPRANITA - WIKIPEDIA

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor.

Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego wiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyca.

Pogodoodporni

Jesienna pogoda sprzyja aktywności fizycznej na świeżym powietrzu. Nie przeszkadzają już upały, a z chłodem czy deszczem można sobie z łatwością poradzić.

Podpowiadamy, w jaki sposób.



Cena: ok. 720 zł
www.chiruca.pl

TYPOWE DLA KOBIET CHIRUCA MONIQUE

Najbardziej popularny damski model Chiruca w nowej wersji kolorystycznej jest przeznaczony do trekkingu w wymagającym terenie i różnorodnych warunkach pogodowych. Cholewka jest wykonana z hydrofobizowanego nubuku i cordury, dzięki czemu jest bardziej odporna na zabrudzenie i przemakanie. Miechowy język zabezpiecza wnętrze butów przed wpadaniem kamyczków i wlewaniem się wody. Membrana Gore-Tex® zapewnia pełną wodoszczelność oraz odprowadzanie potu ze stóp. Bardzo dobrą przyczepność do podłoża gwarantują podeszwy Vibram Pillow, wykonane z gumy o dużej wytrzymałości. Jak przystało na model przeznaczony dla kobiet, jest on produkowany na specjalnych kopytach, uwzględniających różnice między damskimi i męskimi stopami.

Cena: ok. 1600 zł
www.deltaoptical.pl



ZOBACZ WIĘCEJ LUNETA TITANIUM 65 ED II

Luneta obserwacyjna Delta Optical Titanium 65 ED II to nie tylko obowiązkowe wyposażenie każdego miłośnika obserwacji przyrody, ale też nieodłączny kompan turystycznej eskapady. Jasny obiektyw, szkła ED, szeroki zakres powiększeń 15–45×, szerokie pole widzenia okularu (50–70°), całkowita wodoszczelność oraz wypełnienie azotem – to niektóre z wielu jej atutów. Titanium 65 ED II to wysokiej klasy sprzęt obserwacyjny, który dzięki bardzo konkurencyjnej cenie jest niezwykle atrakcyjną propozycją dla miłośników przyrody, turystyki, żeglarsstwa oraz lotnictwa. Dzięki jasnemu obiektywowi sprawdzi się również podczas podstawowych obserwacji nocnego nieba. Producent daje na nią 5 lat gwarancji.

LEKKA I ODPORNA BLACK DIAMOND APPROACH DOWN HOODY

To ultralekka, pakowna i odporna na niesprzyjające warunki pogodowe techniczna kurtka. Wypełnienie puchem gęsim 800-fill z technologią Allied HyperDRY gwarantuje zachowanie właściwości ciepłych podczas opadów. Kurtka została pokryta przyjazną środowisku impregnacją GTT Breathable water protection DWR. Jest wyposażona w mankiety ze ściągaczem, regulowany kaptur oraz zamki YKK. Dodatkową zaletą jest jej pakowność – mieści się do własnej kieszeni.



Cena: ok. 1200 zł
BlackDiamondEquipment.com



Cena: ok. 200 zł
www.decathlon.pl

CIEPŁO W SUPERCENIE KURTKA TREK 100 DOWN

Kurtka puchowa Trek 100 jest lekka, kompresyjna i bardzo przyjemnie grzeje. Wyposażona w puch o wartości 800 CUIN, chowa się do własnej kieszeni. Zmieści się nawet do najmniejszego plecaczka. Jest dostępna w kilku kolorach – zarówno dla pań, jak i panów.

Cena: ok. 520 zł
sklep.jack-wolfskin.pl



NA PODEJŚCIA JACK WOLFSKIN SCRAMBLER LOW

Scrambler Low to lekkie i wytrzymałe buty o wyglądzie i charakterze podejściowym. Wydłużone sznurowanie, wzmocniony czubek stanowiący ochronę dla palców oraz złożony bieżnik sprawiają, że mają uniwersalne zastosowanie. Przeznaczone do codziennej aktywności, świetnie sprawdzają się również w łagodnych terenach górskich. W ofercie znajdują się także buty podejściowe z membraną i usztywnioną podeszwą do bardziej wymagających terenów. Produkt występuje w kilku wariantach kolorystycznych – dla niej i dla niego.

STWORZONY DLA TEJ CHWILI SONY ALPHA 6100 24,2 MP, 11 KL./S

Poręczny Sony Alpha 6100 to nowy, łatwy w obsłudze aparat. Ten mały bezlusterkowiec ma matrycę Exmor CMOS formatu APS-C o rozdzielczości 24,2 megapiksela, dzięki której zdjęcia będą zawsze ostre i zachowają piękne kolory. Idealny dla lubiących fotografować widoki lub portrety, np. podczas trekkingu. Alpha A6100 robi zdjęcia z prędkością 11 kl./s z pełnym śledzeniem oka (Real-time Eye AF) człowieka i zwierzęcia. Ustawi ostrość już w 0,02 s. Odchylany ekran o 180° w górę i o 74° w dół ułatwia kadrowanie podczas fotografowania z dołu lub góry. Nagrywa filmy w 4K w 24 lub 30 kl./s. Dostępny w sprzedaży z początkiem października.



Cena: ok. 4000 zł
(za korpus)
www.sony.pl

WYTRZYMAŁOŚĆ I DESIGN VICTORINOX I.N.O.X. CARBON

Wizjonerski zegarek o unikatowym, solidnym designie oraz niezawodnej funkcjonalności. Przeszedł 130 testów wytrzymałościowych. Wyjątkową kopertę wykonano z testowanego w przestrzeni kosmicznej włókna węglowego o wysokiej odporności na zadrapania. O precyzję i niezawodność zadbał mechanizm kwarcowy. Cyfry, logo i wskaźniki pokryto materiałem Super-LumiNova®, zapewniającym wydłużoną widoczność w ciemności. Do tego dopasowano kolorystycznie pleciony ręcznie czarny pasek z paracordu (linki spadochronowej) z zielonymi znacznikami. To połączenie jakości, funkcjonalności i unikalnej estetyki.



Cena: ok. 3460 zł
www.victorinox.com

DLA BEZPIECZEŃSTWA VARTA OUTDOOR SPORTS REFLECTIVE BAND



Cena: ok. 35 zł
www.varta-consumer.pl

Opaska łączy funkcję oświetlenia i odbłasku. Dwie 5-milimetrowe diody LED świecą na czerwono i razem z odblaskowym materiałem opaski gwarantują wysoki stopień widoczności. By zwiększyć go jeszcze bardziej, użytkownicy mogą wybrać tryb stroboskopowy zamiast ciągłego światła. Opaska jest wodoodporna (IPX4), a jeżeli ulegnie zabrudzeniu, można ją łatwo uprać. Jest elastyczna i ma zapinacze na rzep, co pozwala łatwo dopasowywać rozmiar – nawet dłońmi w rękawiczkach. Dzięki łatwości użycia i poprawie bezpieczeństwa opaska Outdoor Sports Reflective Band jest idealna dla miłośników trekkingu, rowerzystów oraz biegaczy.

UNIKALNY MATERIAŁ VIKING BAMBOO HOODIE

Bluza ma outdoorowy design i jest wykonana z przyjemnej w dotyku tkaniny bambusowej i bawełny. Praktyczna szeroka kieszeń, otwór na kciuk w rękawie i regulowany kaptur świetnie się sprawdzą w górach i na co dzień. Dzięki antybakteryjnym właściwościom użytych włókien bluza zapewnia utrzymanie świeżości podczas użytkowania w różnych warunkach. Tkanina jest antystatyczna, nie gromadzi kurzu ani roztoczy, spodoba się zwłaszcza osobom wrażliwym. Odzież wykonana z bambusa ma cechy kojące, co może przynieść ulgę alergikom. Naturalne właściwości ochronne przed promieniowaniem UVA i UVB zapewniają trwałość włókien.



Cena: ok. 180 zł
www.viking.pl

WYGODA VIKING WINDCROSS

To softshellowe rękawice wykorzystujące trójwarstwowy materiał Gore-Tex® Infinium z Windstopper, który gwarantuje maksymalną ochronę przed wiatrem. Przyjemna wyściółka i osłaniające warstwy membrany to idealne połączenie, zapewniające komfort ciepły i jednocześnie izolujące od warunków panujących na zewnątrz. Dzięki elastycznym mankietom rękawice są maksymalnie dopasowane i nie przepuszczają chłodu do wnętrza. Wzmocnienie dłoni skórą naturalną zapewnia trwałość rękawic i osłonę przed przetarciami w kontakcie z ostrą krawędzią bądź kijkiem. W rękawicach można obsługiwać ekrany dotykowe.



Cena: ok. 150 zł
www.viking.pl

NA PODEJŚCIA I DO WSPINACZKI SALEWA WILDFIRE EDGE MID GTX

Podejście pod ścianę, wspinanie i schodzenie – teraz niezależnie od warunków pogodowych każdemu etapowi wyjścia w góry może towarzyszyć pełna wygoda dzięki butom Wildfire Edge Mid GTX. System Switchfit to proste i sprytnie rozwiązanie pozwalające na szybkie przystosowanie butów do wspinaczki poprzez kompresję w partii palców. Model nagrodzony ISPO Award 2019.



Cena: ok. 900 zł
salewa.com

DWUSTRONNA MAMMUT WHITEHORN IN JACKET

Kurtka utrzymuje ciepło dzięki wysokiej jakości puchowi 80/20. Jest wykonana z materiałów poddanych recyklingowi, jak Pertex Quantum, zapewniający ochronę zewnętrzną, puch RE:Down oraz materiał syntetyczny Ajungilak® OTI™ Element. Jest dwustronna – w każdej wersji można dobrać bardziej stonowany lub żywy kolor. Ma dwie zewnętrzne i dwie wewnętrzne kieszenie na ręce, a najważniejsze rzeczy można schować do kieszeni na piersi.



Cena: ok. 840 zł
mmtsklep.pl

ELEGANCKIE I WYTRZYMAŁE SALOMON OUTLINE GTX

To buty, które można wykorzystać zarówno w trakcie spacerów, wycieczek w góry, jak i na co dzień. Wyglądają na lekkie i elastyczne i takie są. Pełną ochronę przed wodą zapewnia membrana typu Gore-Tex®. Dodatkowa gumowa osłona z przodu chroni palce przed uderzeniami.



Cena: ok. 570 zł
salomon.com



FOT. GRZEGORZ MIEDZIŃSKI

YAMAHA TRACER 700

Dzięki współpracy z Yamaha Polska i z salonem Wawrosz w Bielsku-Białej w moje ręce trafiła Yamaha Tracer 700. Nie jestem specjalistą od motoryzacji i nie przejeżdżam tysięcy kilometrów w roku na jednoślędzie, ale prawo jazdy kategorii A mam już ponad 10 lat, sądzę więc, że mogę podzielić się wrażeniami z jazdy tym motocyklem.

Model Yamaha Tracer 700 miał premierę w 2016 r. Gdy poszperałem w sieci i porozmawiałem ze znajomymi, okazało się, że jest jednym z najlepiej sprzedających się motocykli Yamahy (podobnie zresztą jak mocniejszy egzemplarz, Tracer 900). Wcale się temu nie dziwię – po długiej przerwie od jazdy czułem się pewnie i dobrze na tej siedemsetce. Daje niezwykle wygodną pozycję za kierownicą – zarówno gdy jedziemy dwupasmową obwodnicą, jak i krętymi podgórskimi drogami. Ma wygodne siedzisko, standardowe rozstawienie dźwigni zmiany biegów i hamulca oraz bardzo czytelny i przejrzysty kokpit z zegarem i kontrolkami. Niewielka masa (196 kg z pełnym bakiem) oraz elastyczny i dynamiczny silnik (2-cylindrowy, 4-suwowy, chłodzony cieczą, DOHC, 4-zaworowy, 689 ccm) wpływają na umiarkowane zużycie paliwa (u mnie wyszło 4,5 l/100 km). Łatwo i pewnie wchodzi w zakręty. Przy parkingowych manewrach też jest prosty w obsłudze.

Motor prezentuje się kapitalnie. Uwagę przyciąga szeroka przednia owiewka z podwójnym reflektorem. Obejmuje ona również dość dużą chłodnicę i prze-

chodzi w kierunku baku (17 l), tworząc ciekawą, dynamiczną linię. Tył stanowi lampa LED i uchwyt tablicy rejestracyjnej. Motocykl to nowoczesna i zgrabna konstrukcja, która przyciąga wzrok. Powyżej przednich lamp jest szyba,



Cena: ok. 34 900 zł
www.yamaha-motor.pl

dość wąska u dołu i rozszerzająca się na górze. Wygląda dobrze, jednak przy prędkościach ponad 130 km/h już mocno musiałem się kłaść na baku i trzy-

mać kierownicy. Dobrze, że Tracer ma osłonki dłoni (zintegrowane z kierunkowskazaniami) – to ochrona nie tylko przed pędem powietrza, ale także przed owadami. Pytanie tylko, jak z ich trwałością przy nieplanowanym kontakcie z podłożem lub np. ścianą w ciasnym garażu.



FOT. GRZEGORZ MIEDZIŃSKI

Jakim motorem jest Yamaha Tracer 700 i dla kogo? Można powiedzieć, że producent zmodyfikował sprawdzony i znany model MT-07. Dodano mu owiewki, szybę i podwójny reflektor. Zmieniono oczywiście nieco zawieszenie, co spowodowało drobne zmiany w geometrii i pozycji kierowcy. Tym sposobem przekształcono maszynę klasy „naked” w klasę „sport tourer”.

To okazało się przepisem na sukces, gdyż Tracer 700 plasuje się w czołówce sprzedaży motocykli Yamahy. Pomimo dość skromnego wyposażenia oferuje ciekawą kombinację zalet mocnego i elastycznego silnika z klasy „naked” oraz atuty maszyny nastawionej na turystykę. To propozycja dla osób rozpoczynających przygodę z jednoślędem, ale także dla tych, którzy szukają uniwersalnego, ekonomicznego motocykla w przystępnej cenie zarówno do dojazdów do pracy, jak i na kilkudniowe wyprawy.

Test: Grzegorz Miedziński

Codziennie niskie ceny

Warszawski Supersam otwarto 6 czerwca 1962 r. Budynek o niezwykle nowatorskiej konstrukcji był wybitnym osiągnięciem polskiej architektury modernistycznej. Wnętrze o powierzchni 6 tys. m² mieściło samoobsługowy sklep spożywczy. Miał on własną piekarnię, palarnię kawy, wytwórnię garmazeryjną, rozbieralnię mięsa, paczкарnię oraz kafejkę i bar „Frykas”, mieszczący nawet 170 osób. Supersam był pierwszym wielkopowierzchniowym sklepem samoobsługowym w Polsce i najbardziej nowoczesnym. Jego otwarcie było sensacją i zgromadziło tłumy, choć zdecydowaną większość bardziej interesował asortyment niż architektura. Sklep był, jak na warunki PRL-u, dobrze zaopatrzony, choć i w nim zdarzały się puste półki – zjeżdżali tu ludzie z całej stolicy i okolic. Budynek został zburzony w 2006 r., mimo licznych protestów. Na jego miejscu stoi obecnie wieżowiec.





FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



KIRGISTAN PO ŚLADACH CZYNGIS-CHANA



EKWADOR – FIESTA LA MAMA NEGRA



ANGLIA – KRAINA KRÓLA ARTURA

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Michał Białek
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz,
Łukasz Długowski, Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek,
Elżbieta i Piotr Hajduk, Maciej Jastrzębski, Marcin Kołpanowicz,
Sławomir Kozdraś, Marta Legieć, Jerzy Nowiński,
Tomasz Owsiany, Anna Szczęśna, Magdalena Zelewska,
Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne
Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiec Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

Koordynator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

Pozytywny Portal

www.Pomorzenie.info

Informator:
Kaszuby,
Kociewie,
Trójmiasto,
Żuławy
Świat Podróży

Polub nasz FANPAGE :

www.facebook.com/StudentTrojmiasto/



SÜDTIROL



Południowy Tyrol poszukuje wielbicieli smakowitych stoków.

Południowy Tyrol poszukuje Ciebie.

Odkryj inną stronę Włoch!

Zachwyć się pięknem docenionych przez UNESCO Dolomitów i oddaj się zimowym aktywnościom, korzystając z ponad 1000 km świetnie przygotowanych tras narciarskich. Poczuj urok 300 słonecznych dni w roku i rozsmakuj się w alpejsko-śródziemnomorskiej kuchni – na stoku i poza nim!

suedtirol.info/zima